



NR 1 • 1 SIERPNIA 2017

Czas Powstania

Niezwykłe pokolenie



W wydanym po wojnie, w Londynie w roku 1960, podręczniku ascetycznym przeznaczonym dla młodzieży przez ks. Włodzimierza Okońskiego, który przeżył w Warszawie okupację i uczestniczył w Powstaniu Warszawskim, pojawia się długi wstęp. Autor

opisuje w nim duchowe zmaganie kilkorga młodych ludzi ze złem i cierpieniem, jakich było im dane doznać w okupacyjnej nocy i w trakcie Powstania. Przytoczę fragmenty, zbeletryzowane świadectwa tamtych czasów.

dr Andrzej Mazan Dyrektor Szkół Kolegium św. Rodziny w Łomiankach

W wydanym po wojnie, w Londynie w roku 1960, podręczniku ascetycznym przeznaczonym dla młodzieży przez ks. Włodzimierza Okońskiego, który przeżył w Warszawie okupację i uczestniczył w Powstaniu Warszawskim, pojawia się długi wstęp. Autor opisuje w nim duchowe zmaganie kilkorga młodych ludzi ze złem i cierpieniem, jakich było im dane doznać w okupacyjnej nocy i w trakcie Powstania. Przytoczę fragmenty, zbeletryzowane świadectwa tamtych czasów.

„Po kampanii wrześniowej 1939 bohater Janek (którym jest autor) wraca do Warszawy. Zastał zburzony dom. Sąsiedzi wskazali mu grób matki. Ze zdumieniem i pewną pociechą dowiedział się, że właśnie jego matka wraz z jego siostrą Marysią stanęła przy boku księdza, niosąc pomoc. Mieszkanie ich stało

się punktem opatrunkowym dla najbliższej dzielnicy. z księdzem znajduje pocieszenie nie tylko uczuciowe, ale przede wszystkim eschatologiczne. ...

Lepiej chwilowo zapomnieć bolesne uczucia, ofiarowując wszystko Bogu. Cierpienie jest tajemnicą. Bóg je dopuszcza. Cierpienie idzie za człowiekiem jak cień, jako konsekwencja nieporządku. Na tę tajemnicę światło rzuca Krzyż Chrystusa. W tym świetle okazuje się, że jest on wyrazem największego Boskiego Miłosierdzia i Miłości ku nam...”

W trakcie Powstania 14 sierpnia ksiądz wyjawia młodym żołnierzom sens przegranej walki. – Miałem sen którego sens jest dla mnie jasny: nasze Powstanie nie zakończy się zwycięstwem, lecz pozorną klęską.

W numerze:

Kazik i legionści Góry-Doliny

Dowódcą ocalałych z tego pogromu został „Cichociemny” **Adolf Pilch** (1914-2000), sławny pod pseudonimami „Góra” i „Dolina”. O dziwo, cudem udało mu się odtworzyć Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie. **s.2**



Powiedzmy Niemcom prawdę

Jakiś czas temu niemiecki dziennik „Frankfurter Rundschau” napisał: „słowa polskiej premier w Auschwitz, że Polska musi przede wszystkim bronić bezpieczeństwa swoich obywateli...” **s.7**

Historia jednej rodziny

„W ogóle los wszystkich dzieci w obozie potulickim był szczególnie dramatyczny. Wiele dzieci nie wytrzymało trudnych warunków obozowych. Spoczywa ich najwięcej na przyobozowym cmentarzu”.



W DWÓCH ŁAMACH



Jerusalem Avenue

Maciej Świrski

Podczas wizyty w Warszawie w lipcu 2017 roku prezydent Stanów Zjednoczonych w swoim programowym przemówieniu opowiedział światu jeden z epizodów Powstania Warszawskiego. Opowiedział o obronie przesmyku w Alejach Jerozolimskich, łączącego południową z północną częścią Śródmieścia. W trakcie tego opowiadania padła nazwa ulicy, na której się to działo. Użył angielskiego tłumaczenia tej nazwy – „Jerusalem Avenue”. Ta nazwa zupełnie inaczej brzmi w uszach Amerykanina niż Polaka. Powstanie Warszawskie jest dla polskich patriotów punktem odniesienia (i oceny) do wszelkich późniejszych wydarzeń historycznych w polskiej walce o wolności niezawisłość. Dlatego tak bolesne było oskarżenie przez Gazetę Wyborczą Armii Krajowej o zabijanie Żydów podczas Powstania. Uderzenie w Powstańców jest uderzeniem w samo jądro polskości, polskiej tożsamości. Oskarżenia Polaków o sprawstwo Holocaustu, o współpracę z Niemcami są zbezczeszczeniem pamięci krwi ofiar niemieckiego terroru i pamięci heroicz-

nej walki Polaków, także w Powstaniu. Dla nas sprawy są oczywiste, wiemy jacy jesteśmy i żadna wroga propaganda tego nie zmieni. Dla cudzoziemców w mowie warszawskiej prezydenta Trumpa pojawiła się Polska, której nie znają, pojawiło się Powstanie, którego nie znali i pojawiła się nazwa ulicy, która brzmi w anglosaskich i zachodnich uszach zupełnie jednoznacznie, kontekst kulturowego odniesienia jest jednoznaczny i kojarzy się z Izraelem. Więc następuje dysonans poznawczy – gdzie jest ten „tradycyjny polski antysemityzm”, skoro główna ulica w Warszawie, na której toczyli boje z „nazistami” ma taką nazwę? To jest wprawdzie tylko sprawa przyczynkowa, ale wypuklająca to co się stało w Warszawie na Pl. Krasińskich 6 lipca 2017 roku. Przemówienie Donalda Trumpa, dotyczące przecież kwestii walki o zachowanie cywilizacji Zachodu postawiło sprawę Polski w zupełnie nowy sposób i jest nowym punktem wyjścia dla polskiej polityki historycznej i walki z antypolskimi oszczerstwami.

A zatem – do roboty!

Niezwykłe pokolenie

▶ s.1

Będzie jeszcze wiele ofiar, zdawałoby się bez użytecznych, ale właśnie z nich powstanie Polska wspanialsza, niż była kiedykolwiek od wieków. Piękna Pani, w królewskim diademie przyjęła ofiary swych najlepszych synów. – To niech wam starczy na ciężkie chwile. Ofiary wasze zostały przyjęte. A teraz muszę iść spowiadać do pierwszych linii...”

” W tym samym dniu ksiądz zostaje śmiertelnie ranny. Mówi do Jurka: Nie zwątpicie w dniach pozornej klęski. To będą początki wspaniałego zwycięstwa, choć trzeba będzie jeszcze trochę przecierpieć. – Jurek, przyjacielu drogi, chcę ci dać dziś Kogoś najdroższego, Kogo miałem w życiu i Komu służyłem wiernie. – Gwałtowny kaszel bluznął ciepłą krwią z ust rannego. Krew się rozprysła na pochylonej twarzy Jurka.

– Na naszym odcinku, zupełnie odciętym, nie ma już księdza. A tu na piersi, pod mundurem,



znajduje się jeszcze kilkanaście Hostii Św. Weź je zaraz, spożyj sam i daj do spożycia komuś, kto był u spowiedzi... Boże, jak ja Ciebie kochałem ... jakiś Ty dobry – I głowa jego opadła bezwładnie. Kilka osób klękało, nie zważając na walkę. Młode piersi wstrząsało łkaniem, a z oczu bohaterów obrońców, nie znających strachu, płynęły łzy. Jerzy rozpiął marynarkę. Na zakrwawionej koszuli, w lnianej pełnej krwi torebeczce znajdował się mały korporal ze świętymi Hostiami.

Jurek wyjął go drżącymi rękami. Rozłożył delikatnie na tym cielesnym ołtarzu. Krótki moment klęczenia w bezruchu. Walka jakoś dziwnie ustała od kilku momentów. Jasny promień słońca przebił się



...nie było bardziej świętego pokolenia młodej inteligencji....

wśród ponurych zwalisk murów, rozświetlając ten niecodzienny ołtarz. Jurek był bezradny. — Słuchaj, rozdaj nam Pana Jezusa, jeżeli ksiądz tak kazał – szepnął ktoś. Spojrzał na swe brudne ręce, popatrzył pytająco po obecnych. – No, pędź, bo



zacznie się znów kanonada ... Chcesz, by Hostie zostały sprofanowane? Drżącymi palcami wziął pierwszą. – Boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej – szeptały wargi kilkunastu młodych, którzy korzystając ze spokoju, zeszli z barykady, zbliżając się kilka kroków. Jerzy stał, rozdając Chrystusa klęczącym kolegom i dwu sanitariuszkom...”

To, na co warto zwrócić uwagę w tych cytatach na życie religijne młodych powstańców. Oni w połowie sierpnia w dużej mierze byli gotowi do przyjmowania eucharystii. Ponadto popatrzmy na ich nadzieję, na zdolność do patrzenia na sprawy Powstania jako powinności wobec Boga i Ojczyzny, poczucia konieczności walki, aby się wypełniła Boża i dziejowa sprawiedliwość. A gdy Bóg dopuścił jeszcze większe cierpienie, gdy przyszło im walczyć ponad wszelką ludzką wytrzymałość, zdumiewa umiejętność przyjęcia go w perspektywie odkupienia i przeniesienia walki na teren wychowania. Chcą być gotowi na dziejowy moment ostatecznego wyzwolenia, by go nie przegapić, aby być gotowym do służby Ojczyźnie podobającej się Bogu, aby służyć Chrystusowi nade wszystko w życiu społecznym. Jest to ten sam ton duchowości, którą odnajdujemy później w ślubach jasnogórskich, w Wielkiej Nowennie czy w nauczaniu Jana Pawła II skierowanym do Polaków.

Stawiam tezę, że nigdy w historii Polski nie było bardziej świętego pokolenia młodej inteligencji. Na barykadach Warszawy strzelaliśmy do Niemców nie pociskami karabinowymi, ale krwią świętej młodzieży. Bruki stolicy są skropione ich świętą krwią. I nie twierdzą, że ta młodzież rwała się do Powstania. Raczej Powstanie było wbrew jej zamiarom, ponieważ

jej wyrobienie katolickiego charakteru nigdy nie pozwoliłoby na decyzję o szafowaniu nawet własnym życiem, a cóż dopiero życiem innych. Oni poszli, bo tak rozumieli służbę Matce Boga i Królowej Polski. ▶

Fenomen pokolenia inteligencji wychowanej w szkołach średnich dwudziestolecia nie polegał na tym, że było to pokolenie ateistycznych Kolumbów, lecz na tym, że było to pokolenie odróżniające się od pokolenia swoich ojców czy dziadów wiarą nabytą w wolnym kraju.

Pokolenie otrzymujące niepodległość i walczące o granice wcale nie było zbyt pobożne. Jak pisze J. Kłoczowski, „**Kościół i autorytet moralny w Polsce w XIX w (1795-1914)**”, w: „**Chrześcijaństwo i historia, przełom XIX i XX wieku**” to największy rozdźwięk w dziejach Polski między inteligencją o orientacji pozytywistycznej, agnostycznej, antyklerykalnej a jednocześnie grupą przywódczą o ogromnym dynamizmie a Kościołem. Spod wpływu kleru emancypują się ruchy nacjonalne, socjalistyczne, chłopskie. Potwierdzają to inni historycy. Odchodzenie inteligencji od katolicyzmu pod koniec XIX wieku stanowiło fakt niezaprzeczalny [...] (T. Łepkowski) „**Rozważania o losach polskich, Londyn 1987**”). Inteligencja początku XX wieku charakteryzowała się wybujałym indywidualizmem, odnosiła się nieufnie do polskiego katolicyzmu, któremu zarzucała powierzchowność i „jezuityzm” czyli podporządkowanie ludzi świeckich duchowieństwu. Wśród tej warstwy nastąpiła kontestacja tradycyjnego katolicyzmu, aż do zaniedbywania praktykowania sakramentów (W. D. Olszewski, „**Polska kultura religijna na przełomie XIX i XX wieku**”), Warszawa 1996.

Aby zahamować upadek moralny społeczeństwa konieczne stawało się znalezienie sposobu na pogłębienie oddziaływania religijnego przede wszystkim wśród dzieci młodzieży. Szczególnie dotyczyło to młodzieży gimnazjalnej, stanowiącej naturalną podbudowę dla warstw kierowniczych narodu.

Kościół pragnął wzmocnić wśród niej zarówno świadomość praw moralnych jak i motywację do ich stosowania w życiu indywidualnym, rodzinnym narodowym i państwowym. Dlatego dążył do wprowadzenia szkół wyznaniowych w państwowym systemie oświaty. Gdy do tego nie doszło, w konstytucji marcowej uchwalano wprowadzanie szkół wielowyznaniowych, Kościół zintensyfikował wychowanie w organizacjach.

Jak zauważa Miłosz w „**Rodzinnej Europie**”, religia była nauczana na poziomie seminaryjnym, każdy dzień w szkole rozpoczynał się odśpiewaniem „Kiedy ranne wstają zorze...”

a ponadto funkcjonowały w szkole organizacje religijne mające na celu poznawanie Boga i służbę

W szkołach średnich działały Sodalitacje

Mariańskie wprowadzone decyzją biskupów w roku 1921. Rozwijały się powoli, bo nie były nakazane, lecz zależały od dobrej woli księży katechetów. W roku 1921 działały w kilkunastu szkołach. W roku szkolnym 1938/39 objęły ponad 75% szkół i około 36 000 młodzieży. Ta liczba oznacza, że połowa uczniów w starszych klasach była w sodalicyjach. Organizacje szkolne tworzyły dwa ogólnopolskie związki – **Związek Sodalitacji Mariańskich Uczniów Szkół Średnich w Polsce oraz podobny Związek Sodalitacji Mariańskich Uczennic**.

Można postawić uzasadnioną tezę, że wychowanie sodalicyjne stało się ważną częścią systemu wychowawczego polskiej szkoły średniej. Jego osiągnięcia organizacyjne i pedagogiczne spowodowały, że w sferze religijno-społecznej ruch sodalicyjny przyczynił się do wytworzenia nowej formacji intelektualno-duchowej wśród polskiej inteligencji zwróconej w kierunku wiary i Kościoła.

Najgłębsze chyba przemiany postaw wobec religii i Kościoła dokonały się w środowisku inteligencji polskiej. Inteligencja ta – dotyczy to przede wszystkim byłego zaboru rosyjskiego – poddana była w końcu XIX wieku bardzo silnym wpływom pozytywizmu, scjentyzmu, myśli radykalnej, w tym również marksistowskiej. Katolicyzm uchodził w tych środowiskach za synonim ciemnoty i wsteczności. Praktyki religijne były czymś wstydliwym. Natomiast w ostatnich latach przed wybuchem II wojny światowej przeważająca część młodzieży akademickiej przyznawała się otwarcie, a nawet demonstracyjnie do katolicyzmu. W środowiskach literackich i intelektualnych okazywanie przynajmniej zainteresowania problematyką katolicyzmu należało do dobrego tonu (L. Mullerowa, A. Stanowski, **Lata wojny i okupacji 1939-1945, W: Chrześcijaństwo w Polsce, zarys przemian 1966-1945**, pod red. J. Kłoczowskiego, Lublin 1981).

Czym były sodalicyje? Wywodziły się z tradycji jezuickiej, ale zostały dopasowane do potrzeb młodzieży przez wielkiego wychowawcę i moderatora najsprawniejszej przed II wojną światową organizacji religijnej Związku Sodalitacji Mariańskich Szkół Średnich w Polsce ks. Józefa Winkowskiego. Była to najprężniejsza katolicka organizacja młodzieżowa na świecie. Ona uchroniła młodą polską inteligencję przed wpływami naturalistycznymi, pozytywistycznymi, komunistycznymi. Ona dała Kościołowi i Ojczyźnie najlepsze dzieci. Ks. Winkowski zmarł w roku 1951 i jest pochowa-

ny na cmentarzu w Zakopanem.

W popularnym w okresie międzywojennym „**Przewodniku Sodalitacji Mariańskiej**” Jana Rostworowskiego znajdowało się trójstopniowe uszeregowanie celów.

„Wybitna, w społeczne formy ujęta, do najwyższego stopnia spotęgowana cześć Maryi” była pierwszym, bezpośrednim celem sodalicyjnych mariańskich. Najświętsza Maria Panna, której Bóg powierzył wychowanie swojego Syna, w tradycji katolickiej spełniała rolę wychowawczyni w sposób mistyczny i duchowy. Przez naśladowanie jej cnót wierzący najszybciej uzyskiwał doskonałość chrześcijańską, co kończyło drugi etap formacji. Sodalitacja w tym poznawała podstawy wiary, starała się rozumieć poglądy Kościoła na sprawy światowe oraz nabrać takiej wrażliwości sumienia, aby pewnie rozpoznawać fałsz i prawdę, korzystać i zagrożenie dla katolicyzmu. Sodalitacji stawiano indywidualne wymagania, aby charak-

wrodzone lenistwo młodzieży, jej uleganie chwilowemu nastrojowi i namiętnościom. Służba wobec czynności dnia powszedniego była środkiem, [...] który porywczo i szlachetnie w planach młodzieży polską [...] miał nauczyć wytrwałości, sumiennosci i głębi przeżywania wiary. Dlatego nauka poczucia obowiązku względem Boga, samych siebie i najbliższych aż do jego „ukochania” spełniała pierwszorzędą rolę w sodalicyjnej, która miała [...] wszczepić ideę obowiązku w dusze już w młodości [...].

W opinii ks. Józefa Winkowskiego idea przemiany życia szkolnego miała w takim stopniu zdominować działalność sodalicyjną, aby doprowadzić do [...] utrzymania w całej szkole stanu łaski. Najważniejszym elementem ciągłej sodalicyjnej formacji stało się przyzwyczajanie chłopców do regularnych praktyk religijnych i wzorowego wypełniania obowiązków szkolnych oraz rodzinnych zgodnie



Ksiądz
Józef Winkowski

Sodalitacja Mariańska Akademików (SMA)

teryzowała ich czystość, wstrzeźliwość, uczciwość, ubóstwo duchowe, pobożność, odwaga cywilna, roztropność w słowie i czynna miłość bliźniego. Po zakończeniu etapu formacji sodalita stał się przygotowany do działania apostolskiego w wyznaczonych przez Kościół ramach, osiągając ostatni cel sodalicyjnego wychowania.

Te wskazówki uczynił drogowskazem wychowawczym ks. Józef Winkowski, który ułożył ogólnopolskie statuty sodalicyjne. Postulował utrzymanie codziennego stanu świętości, tj. świadomości Bożej obecności i nieustannej z Bogiem łączności. Stan ten należało osiągnąć przez codzienną częstą modlitwę i prowadzenie życia w łasce, dzięki systematycznemu przystępowaniu do komunii świętej, uczestniczeniu we Mszy św., korzystaniu z sakramentów, czytaniu budującej lektury, poddaniu się stałemu przewodnictwu duchowemu. W celu wzmocnienia postawy posłuszeństwa i kształtowania poczucia odpowiedzialności ks. Winkowski postulował konieczność dokładnego wypełniania wszystkich codziennych obowiązków. Bezwzględne posłuszeństwo obowiązkowi było tym nakazem i imperatywem, jaki miał przełamać

z etyką katolicką. Nacisk w pracy duszpasterskiej został położony na świadome przeżywanie wiary połączone z pełnym posłuszeństwem wobec prawa Bożego. Chodziło o nabycie wierności zasadom moralnym praktykowanym pod wpływem motywów religijnych. Rezultatem miało być wyrobienie chrześcijańskiego charakteru, tworzącego dynamiczną osobowość stale ukierunkowaną ku dobru i posiadającą ciągłą motywację do jego realizacji.

Wyrobiony sodalita stał się posłuszny, czysty w myśli, słowie, uczynku, prawdomówny, szczery i otwarty wobec rodziców, spowiednika, moderatora i kolegów, miłujący rodziców, usłużny, pracowity, sumienny, wypełniony chrześcijańską wesołością i radością. Miał w sobie rozbudzić pragnienie pomocy innym ludziom, uważać za obowiązek nie to, co nakazane, ale to co trzeba było podjąć. Tylko wtedy jego postawa, wpływająca z dobra wewnętrznego stawała się wyraźna i pozbawiona ostentacji i tylko w ten sposób w serdecznej rozmowie, zachęcie, współczuciu, gorącej modlitwie mógł sodalita wpływać na moralny kształt szkolnej, koleżeńskiej i rodzinnej rzeczywistości. Miał starać się dać maksymalną ofiarę z siebie, ze swoich sił, pracy, zdrowia. s.4 ▶

Niezwykłe pokolenie

W społecznym wymiarze, po opuszczeniu szkoły uformowana w sodalicyj inteligencja katolicka powinna była odznaczać się silną wiarą płynącą z przekonania, posłuszeństwem prawu Bożemu i zakazom kościelnym. Musiała rozumieć, że obrona wolności Kościoła stanowiła najskuteczniejszą walkę dla dobra narodu i ojczyzny, a jednocześnie powinna umieć zdobyć się na najwyższą ofiarności na rzecz Ojczyzny. Narodowym rezultatem sodalicyjnej formacji miało być chrześcijańskie odnowienie Polski dokonane w ciągu kilkudziesięciu lat.

Do takiego wzniosłego celu porywał serca młodzieży ks. Józef Winkowski. „Idziem ku świtom Zmartwychwstania Narodu, zmartwychwstania Ducha Polski, [...] otośmy przez sodalicję zerwali się z duchowej martwoty i bierności i zapragnęli żyć pełnią życia, wiary i łaski, pragniemy dać pokrzepienie sercom polskim by zmartwychwstali dla Chrystusa w wielkiej, szczęśliwej, potężnej Polsce.”

Praca dawała efekty. W Polsce międzywojennej młodzież studencka garnęła się do organizacji religijnych. Nie były to tylko Sodalicje, choć te funkcjonowały we wszystkich ośrodkach akademickich, ale takie organizacje jak **Odrodzenie, Iuventus Christiana**. W memoriale do biskupów polskich w 1936 ks. Winkowski podawał, że w rekolekcjach wielkopostnych uczestniczyło 15 000 studentów, niemal wszyscy ówczesnie studiujący studenci – katolicy. Latem 1936 roku odbyły się jasnogórskie ślubowania młodzieży akademickiej przygotowane przez Sodalicje mariańskie akademików. W ślubowaniu wzięło udział dwadzieścia tysięcy młodzieży. Przybyły pielgrzymki z Warszawy 10000, z Krakowa i Lwowa 2300 i 2100, w Wilna 700, z Lublina 500W słowach ślubowania odnajdujemy echo sodalicyjnej drogi.

W roku 1938 **Ks. Kardynał Aleksander Kakowski** napisał o młodzieży akademickiej: „Podkreślam ze szczerym zadowoleniem, że kiedy młodzież XIX wieku, wychowywana w atmosferze materializmu i pozytywizmu, wyższości materii nad duchem, wykluczała religię z życia prywatnego i publicznego. (...) Większość dzisiejszej młodzieży akademickiej (...) wzięła w głębokim przekonaniu religię za podstawę życia



indywidualnego, społecznego i państwowego. (...) Ten przewrót duchowy w młodym pokoleniu nastąpił po wojnie. (...) Najwięcej pociesającym objawem jest to właśnie, że w młodzieży wzbudził się nowy wspaniały idealizm, nowe poczucie moralne (...) młodzież garnie się do organizacji, których hasłem jest religijność, czystość serca, hart duszy, męstwo, wstrzemięźliwość, abstynencja”.

Zwracam uwagę na liczbę 10 000 młodzieży z Warszawy. Było ich najwięcej. To oni później tworzyli duch Powstania, ofiary i wysokiej Chrystusowej moralności, o której milczy historia. To zapewne było najczystsze moralnie Powstanie w historii ludzkości, zwłaszcza gdy przypomnimy ogrom bestialstwa niemieckiego i własowców.

Na koniec kilka uwag o postawie sodalisów akademickich w Warszawie, po wrześniu 1939. To że, ten ruch nie mógł trwać jest oczywiste.

To, że nastąpiło rozproszenie też jest sprawą jasną. Ale to, że w Warszawie w środku wojny, bo w roku 1943 trzydziestu młodych ludzi wstępuje do zakonu Marianów jest sprawą zdumiewającą. Skąd się wzięli? Ano z ducha i pracy sodalicyj. Samorzutnie utworzyli grupy pogłębiania religijnego. Aby odrodzić naród przez odnowę moralną. Ich przywódcą był **Władysław Domaradzki**. On kierował trzema grupami akademików – z



Żoliborza, Mokotowa i Pragi. Tworzył elitę, która kierowała Grupami Katolickimi. Przeciętny stan Sodalicji wraz z Grupami Katolickimi w latach 1942-44 wynosił ponad 360 osób, a ilość

chłopców, którzy brali udział w działalności Sodalicji, ocenia się łącznie na około tysiąca.

Ci chłopcy podjęli wspaniałą akcję wychowawczą wśród wojennej opuszczonej młodzieży. Szacuje się też, że całą (profilaktyczną) działalnością Sodalicji: w szkołach, harcerstwie, na plażach, w ośrodkach zdrowia, kursach bokserskich i tym podobnych akcjach zostało objętych około dwudziestu tysięcy chłopców”. Tak to oceniał **Włodzimierz Okoński, wielki mariański wychowawca w książce „Przywódca Wielkiej Akcji” (Warszawa 1997)**. Najlepsi poszli do Powstania, wielu z nich zginęło. Ale ginęli w opinii świętości. Wśród bohaterów Powstania dotychczas dwóch księży zostało uznanych za błogosławionych. Ale warszawski bruk skropiony jest krwią męczeńską także młodych dwudziestoletnich chłopców z soda-

licji, takich jak **Władysław Domaradzki, Zygmunt Kotas, Zygmunt Białoskórski, Zygmunt Jarczyński, Zbigniew Wapiński, Jerzy Seredyński, Jerzy Danowski**.

Józef Winkowski pisał, w 1925 roku, z euforią wyniesioną z atmosfery zjazdowej, w „**Miesięczniku Katechetycznym i Wychowawczym**”:

[...] Może w dzisiejszych aż nabyt realnych czasach nie wypada stwarzać sobie poetycznych wizji przyszłości. Ale na moment wyobraźmy sobie, że we wszystkich szkołach średnich Małopolski i Korony, Wielkopolski i Śląska, Ziemi Czerwieńskich i Litwy powstały setki Sodalicji Mariańskich. Wyobraźmy sobie, że ta młodzież, jak sama uchwaliła w Krakowie, z obowiązku wchodzi po maturze w szeregi sodalicyjne naszych wszechnic Warszawy, Krakowa i Lwowa gdzie już są, – Poznania i Lublina, gdzie, jak ufamy, będą wkrótce Sodalicje akademickie. Wyobraźmy sobie, że z nich katolicka, dzielna, wyrobiona, przechodzi do Sodalicji obywatelskich – nikt z nas nie oprze się głębokiemu, wstrząsającemu wrażeniu, że w kilku dziesiątkach lat nad Polską katolicką spełniają się słowa Psalmisty: *Emittes spiritum tuum et creabuntur et renovabis faciem terrae* (Ps. 103,30).

Echo tych słów zabrzmiało 2 czerwca 1979 wygłoszone przez sodalisa, przewodniczącego Sodalicji w wadowickim gimnazjum, członka sodalicyjnej akademickiej, ponawiającego tajnie śluby z 1936 w czasie okupacji na Jasnej Górze, św. Jana Pawła II. Czyż nie są one wciąż zadaniem?



...To oni później tworzyli duch Powstania, ofiary i wysokiej Chrystusowej moralności, o której milczy historia....



Ś. p. Ojciec Tomasz Pawłowski z wizytą u rodziny Kowalskich, AD 2008.

Fot. Jacek Kowalski

Powstańcza szczepionka Ojca Pawłowskiego

Jacek Kowalski

• W latach wczesnej młodości nasz duszpasterz, dominikanin, ś. p. Ojciec Tomasz Pawłowski (1927-2016), czynnie uczestniczył w Powstaniu Warszawskim. Już pierwszego sierpnia brał udział w nieszczęsnym szturmie na dworzec kolejowy, w gromadzie niemal nieuzbrojonych młodzieńców. Akcja skończyła się tragicznie, a Ojciec zawsze komentował Powstanie krótko: „bezsens, katastrofa”. I powtarzał, że Bogu dziękuje za astygmatyzm, dzięki któremu nie zabił żadnego Niemca i pragnąc zostać kapłanem nie musiał starać się o dyspensę. Jak wiadomo, kapłanem nie może zostać człowiek obciążony zabójstwem.

•• Kilka lat temu Ojciec Tomasz odwiedził nas. Przywieźli go z Rzeszowa nasi duszpasterscy przyjaciele. Ledwie chodził, zniechęcał, wsparty na lasce i zgięty wpół, ale wciąż pełen ducha.

Zatarłem ręce, bo nasze dzieci były właśnie na etapie kompletnego zaślepienia Powstaniem Warszawskim. Doszło do tego, że w okolicach pierwszego sierpnia trzy środkowe egzemplarze (lat jedenaście, dziewięć i sześć) bez naszej wiedzy wykopały w domowym ogródku kilkume-

trowej długości kanał, czyli rów, który nakryły dechami, przysypały ziemią i trawą, po czym nalawszy w tę czeluść wody przeczołgiwały się przez nią pół dnia. Miała to być radosna rekonstrukcja koszmaru, czyli ewakuacji Starówki do Śródmieścia, pod przewodem najstarszej uczestniczki odgrywającej rolę „Stokrotki”.

Z tego tytułu – rzekłem Ojcu Tomaszowi – przyda się bezkrytycznej diatwie parę słów prawdy, czyli szczepionka na patriotyczne kretyństwo (przyznam się jednak, że znając Ojca Tomasza... ale nie uprzedzajmy wypadków).

•••

Ojciec pokiwał ze zrozumieniem głową, zasiadł i zaczął jak zwykle. „Byłem, widziałem, bezsens, katastrofa, nieuzbrojeni koledzy ginęli, nie należało tego zaczynać, winne dowództwo”. Tak przez jakieś dziesięć minut.

Nie miał jednak ochoty kończyć, przeciwnie, z biegiem opowieści mówił coraz głośniejszym, szybciej i z coraz większą energią. Usłyszeliśmy o przysiędze na wierność Bogu i Ojczyźnie – „Zostałem żołnierzem Rzeczypospolitej!” – a potem, minuta po minucie, o pierwszym dniu Powstania; o tym, jak jego harcerski oddział wyszedł na ulicę i biegł na

miejsce akcji, a ludzie z balkonów bili brawo; o tym, jak jego bezbronny kolega stracił nogę, ale przed śmiercią wyznał, że dałby sobie jeszcze drugą nogę urwać, gdyby mógł jeszcze raz przeżyć dzień pierwszego sierpnia.

I wreszcie o tym, jak Ojciec strasznie chciał mieć peema, i jak się wreszcie dorwał do karabinu i zaczął kropić do Szwabów. Ale wtedy opadły go straszne skrupuły. Tu Ojciec zwrócił się do dzieci, wycelował ku nim wskazujący palec i zagrmiał: „Strzelam – i pudło! Strzelam – i pudło! I jeszcze raz!

Rozumiecie, co to znaczy?! Nie mieliśmy amunicji, a ja, dureń, ja, głupi Pawłowski, mój Boże, marnowałem naboje! A przecież było powiedziane: każdy pocisk – jeden Niemiec! Moja wina, moja wina!” (tu zaczął bić się w piersi)

– „A naprawdę chciałem trafić, tylko nie wiedziałem, że mam astygmatyzm, wykryto mi dopiero po wojnie, i tylko to mnie usprawiedliwia!”.

Dzieci słuchały z otwartymi ustami. Szczepionka się przyjęła.

Tomasz Pawłowski (świeckie imię Zygmunt, 1927-2016) - dominikanin, duszpasterz akademicki. We wczesnej młodości powstaniec warszawski, w latach stalinowskich więziony za działalność antykomunistyczną, po studiach wstąpił do Zakonu Braci Kaznodziejów (święcenia kapłańskie otrzymał w 1956 r.). Studiował na Uniwersytecie Poznańskim, potem na KUL, doktorat obronił na ATK. Był duszpasterzem akademickim z początku we Wrocławiu, potem w Poznaniu (1957-1964) i Krakowie (do 1983), gdzie na prośbę abpa Karola Wojtyły założył sławne duszpasterstwo akademickie „Beczka”, potem ponownie w Poznaniu (do 1987) i w Rzeszowie (do 1994), i w Gdańsku (do 2005). Na starość wrócił do Rzeszowa, ostatnie lata życia spędził w domu opieki pod Rzeszowem. Pośród jego wychowanków jest wielu wybitnych ludzi nauki, społeczników oraz polityków wolnej Rzeczypospolitej (z różnych nurtów politycznych); kilku z nich po roku 1990 piastowało urzędy ministerialne. W roku 2004 otrzymał Honorowe Obywatelstwo Miasta Krakowa, w 2008 prezydent Lech Kaczyński odznaczył go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Kazik i legionieści Góry-Doliny

Jacek Kowalski

Moi dziadkowie Anna i Feliks mieszkali przed wojną w Stołpcach. Było to ważne miasteczko nad Niemnem, po wschodniej stronie Puszczy Nalibockiej, ostatnia stacja kolejowa przed granicą sowiecką. Dziadkowie kupili tutaj drewniany, parterowy domekz obejściem przy ulicy Dominikańskiej (później Piłsudskiego).

Podczas okupacji niemieckiej Stryjek Kazik ukończył lat siedemnaście. Musiał znaleźć jakieś zatrudnienie. Znalazł je na kolei jako „pracownik fizyczny”. Zapewne wskutek podróży żelaznym szlakiem, a może też dzięki konspiracji, w której był już prawie dwa lata, udało mu się wyrobić kennkartę z podlubelskim, chełmskim adresem.

Występował zatem jako obywatel Generalnego Gubernatorstwa i, korzystając z przywilejów kolejarza, przewoził bibułę. A życie w domu Kowalskich było wówczas trudne. Zimą dokuczał przejmujący mróz. Mój Ojciec wspominał wielokrotnie, jak to bez najmniejszego żalu użył swoich

najdroższych znaczków pocztowych jako podpałki.

Najstarsi z rodzeństwa Jadwiga i Kazik byli teraz ostoją rodziców i młodszych braci.

Tymczasem w Nalibokach grasowała sowiecka partyzantka. Słowo „grasowała” nie jest przypadkowe.

Kazik i legionieści Góry-Doliny

◀ Oddziały sowieckich partyzantów składały się ze zrzuconych specjalnie na zaplecze frontu dowódców oraz maruderów pozostałych po rozgromieniu Czerwonej Armii w 1941 roku. Obyczajnie luźnych, liczących w sumie kilkanaście tysięcy ludzi, oddziałów nie odznaczały się wyższą kulturą. Najczęściej nie walczyli z Niemcami, tylko rabowali okoliczne wsie. Niemcy pozwolili wówczas Białorusinom zorganizować tak zwaną „samoachowę”, czyli oddziały samoobrony, które wyposażyli w broń. Skorzystała z tego polska konspiracja, przejmując część uzbrojenia

Wkrótce w Nalibokach powstało Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie AK, czyli polscy „legioniści”, bo tak ich dla odróżnienia od Sowietów nazywano. Do „legionów” wstępowały nie tylko Polacy – także bardzo wielu Białorusinów. 19 czerwca 1943 roku w swojej pierwszej spektakularnej akcji Zgrupowanie opanowało sąsiedni, powiatowy Iwieniec, zdobywając niemieckie koszary, w których zaopatrzyło się w broń. Dowództwo nawiązało już wtedy kontakt i zawarło sojusz z Sowietami. Ale podczas wspólnej akcji Sowietci zdradzili, „wystawiając” Polaków Niemcom. Po tem 1 grudnia na uroczysku nad jeziorem Kromań polski oddział został przez Sowietów otoczony i rozbrojony. Oficerowie powędrowali w głąb Rosji na pokładach kukuruźników i słuch po nich zaginął. Szeregowców siłą wcielono do sowieckiej partyzantki – część z nich wkrótce zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Dowódcą ocalałych z tego pogromu został „Cichociemny” **Adolf Pilch (1914-2000)**, sławny pod pseudonimami „Góra” i „Dolina”. O dziwo, cudem udało mu się odtworzyć Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie AK, mimo że do początku lipca 1944 roku Sowietci nieustannie usiłowali zlikwidować legionistów, dopuszczając się przy tym gwałtów i morderstw na ludności cywilnej, zwłaszcza na rodzinach polskich żołnierzy. Doszło więc do tego, że Góra-Dolina zawarł „na gębę” kilkumiesięczny rozejm z Niemcami za cenę otrzymanej amunicji. Wzbudziło to później wiele nieporozumień i kontrowersji, Góra-Dolina został nawet oskarżony przed dowództwem AK o jawną kolaborację z wrogiem. Jednak w tamtym czasie, ścigany i osaczany przez Sowietów, w zasadzie nie miał wyjścia. Z walki z

Niemcami bynajmniej nie zrezygnował. Sprawy te wielokrotnie już opisywano, więc je pomiję.

Na wiosnę, kiedy zbliżył się front i miała się zacząć akcja „Burza”, Kazik poszedł do lasu. Otrzymał pseudonim „Zamiec”, wstąpił do drugiego plutonu drugiego szwadronu **27 Pułku Ułanów**. Dowódcą jego dywizjonu był **chorąży Nurkiewicz ps. „Nieczaj”, dowódcą szwadronu wachmistrz Niedźwiedzki ps. „Lawina”, dowódcą plutonu plutonowy Łapa ps. „Czarny”**. Lada dzień cały oddział miał wyruszyć na Zachód, ku Wilnu, żeby uczestniczyć w akcji „Ostra Brama”. Prawie tysiąc ludzi – ułani konno, a na stu pięćdziesięciu furmankach piechota i rodziny żołnierzy. Wieść o wyruszeniu oddziału gdzieś w nieznane – bo przecież celu wyprawy poza dowódcą nikt nie znał – dotarła do rodzin. Gieniek i Czesiek poszli wtedy razem, na bosaka, do



Naliboków, żeby się z Kazikiem pożegnać. Wzięli ze sobą wyszabrowany z niemieckiego transportu specjalny pakunek opatrunkowy, który zamierzali dać Kazikowi na drogę. Szli po moście na Niemnie – już zaminowanym. Kiedy wracali po pożegnaniu z bratem, niemieccy żołnierze specjalnie zaczęli i wysadzili most tuż po przejściu dwóch chłopców. Mój ojciec wielokrotnie, a zwłaszcza na starość, podczas ciężkiej choroby, wspominał obraz tego zaminowanego mostu i drogi do Kazika.

Zaraz potem, 1 lipca koło **Horodziei** szpica ułańska wpadła w zasadzkę. Wchodzących do wsi żołnierzy Sowietci obrzucili wiązkami granatów. Kazik został ciężko ranny w pierś i w nogi. Zostawiono by go też pod tą Horodzieją – bo transport rannych był wielkim problemem –

gdyby nie jedna z sanitariuszek, która uparła się, żeby zabrać go na wóz szpitalny. Przeleżał na tym wozie siedemnaście dni. Część odłamków nosił potem w ciele aż do końca życia.

Okazało się, że droga na Wilno jest niemożliwa do przebycia. Oddział **Góry-Doliny** ruszył więc w jeden z najdłuższych i najbardziej niesamowitych bojowych szlaków tej wojny – ku Warszawie, odległej o kilkaset kilometrów. Dotarł do Puszczy Kampinoskiej i 25 lipca wszedł w skład **VIII Rejonu AK „Grupa Kampinos” pod dowództwem Józefa Krzyczkowskiego ps. „Szymon”**.

Ta epopeja kampinoskiej partyzantki jest powszechnie znana. Ozdrowiały już Kazik wziął w niej czynny udział. Walczył we wszystkich akcjach bojowych drugiego plutonu: **pod Bożęcinem, Pocięchą, Ławami, Leoncinem, Sowią Wolą, Mariewem, Zaborówkiem** i w licznych codziennych starciach patrolowych.

8 maja 1943 oddziały radzieckich partyzantów pod dowództwem Pawła Gulewicza z Brygady im. Stalina i z oddziałów „Dzierżyńskiego”, „Bolszewik”, „Suworowa”, w tym oddział składający się z osób narodowości żydowskiej, zamordowały ok. 128 polskich mieszkańców miasteczka podejrzewanych o przynależność do samoobrony lub AK.

(Od redakcji)

W dniu 29 września „Grupa Kampinos” została otoczona i rozbita przez Niemców **pod Budami Zosinymi i Jaktorowem koło Żyrardowa**. Oddział wyszedł z okrażeń, ale ostatecznie rozpadł się podczas próby przejścia do **Puszczy Mariańskiej**.

Kazik od października 1944 roku do stycznia 1945 roku ukrywał się w Skierniewicach, gdzie pracował w tartaku. Po wojnie odnalazł rodzinę, ekspatriowaną ze Stołpców do Zamościa. Ale to już inna historia.



Ułani ze Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego AK, wiosna-lato 1944 roku. Kazik Kowalski ps. „Zamiec” zwrócony do obiektywu.

Fot ze zbiorów rodzinnych Autora

Powiedzmy Niemcom Prawdę



Jakiś czas temu niemiecki dziennik „Frankfurter Rundschau” napisał: „słowa polskiej premier w Auschwitz, że Polska musi przede wszystkim bronić bezpieczeństwa swoich obywateli, pasują jak ulał do nowej polityki historycznej Warszawy. Chodziło to, by przedstawić Holokaust jako czysto niemiecką zbrodnię, w której Polska nie miała

udziału”. Na wezwanie Reduty Dobrego Imienia wielu Polaków wysłało do niemieckiej redakcji wojenne wspomnienia – aby powiedzieć Niemcom prawdę o II wojnie światowej i odpowiedzialności za niemieckie zbrodnie. „Reduta Online” publikuje nadesłane opowieści.



Frankfurter Rundschau

Sławomir Fidler

Urodziłem się po II wojnie w 1949r.

Do perfekcyjnie pamiętam opowieści o tym, jak mordowali mieszkańców Woli, o usuniętym i zapomnianym **KL Warschau**. O tym często mówiono po wojnie. Cała Wola spływała krwią. Na każdej ulicy powinno być po kilkadziesiąt krzyży. Możecie za to podziękować czerwonej zarazie okupującej prawie przez 50 lat Polskę! Ta zaraza nie wyrównała wojennych rachunków krzywd i zniszczeń oraz odszkodowań.

Na Woli zginęła cała rodzina **Kwiatkowskich i Pawlaków** kwatery 137 L – rodzina mojego dziadka – koło pomnika Polegli Niepokonani. Pod tym pomnikiem leży kilkaset tysięcy warszawiaków zamordowanych w Powstaniu Warszawskim.

Z powodu swojej przeszłości w AK i w WIN był człowiekiem „drugiej kategorii” w PRL. **Franciszek Łotocki** (wuj mojej matki, Reginy Gieruń z domu Rymuza) – **podchorąży AK w Powstaniu Warszawskim** był ranny w nogę, którą chciano mu amputować, ale cudem udało się ją ocalić. Żona Franciszka – **Zofia Łotocka** była więźniem niemieckiego obozu koncentracyjnego **Ravensbrueck**. Przeprowadzano na niej eksperymenty medyczne, co pozostawiło w jej psychice niezatarty ślad do końca życia.

Chcę dodać, że spotkałem w swoim życiu wielu przyjaznych mi Niemców, z niektórymi (jeszcze żyjącymi) przyjaźnię się do dziś, ale żaden z nich nie ma do końca świadomości skali szkód poczynionych przez Niemcy na Polakach (bo tak ich wychowywano i tak ich uczono w szkole).

Wojciech Stopiński

Mam 65 lat. Mojej mamy czteroosobowa rodzina w czasie okupacji niemieckiej była wysiedlona przez okupantów do Krościenka z rodzinnego miasta Sierpca. Stamtąd własnymi siłami podjęła próbę powrotu do Sierpca. W drodze powrotnej mojej mamy ojciec w Warszawie został zastrzelony przez niemieckiego snajpera na ulicy Stępińskiej w Warszawie. W czasie okupacji mama miała narzeczonego, który należał do Armii Krajowej, który też zginął w Powstaniu Warszawskim. Poza tym mama opiekowała się w czasie Powstania Warszawskiego młodym powstańcem o imieniu Wojtek z Armii Krajowej, który ostatecznie zmarł mamie na rękach. Na jego pamiątkę rodzice dali mi na imię Wojtek. Mama przez wiele lat po wojnie szukała mogiły swego ojca. Ostatecznie odnaleźliśmy go w grobie zbiorowym blisko pomnika „Zwycięzeni Niepokonani” na cmentarzu Wolskim. Koszty materialne i duchowe okupacji niemieckiej dla całej rodziny: mojej mamy, mojego ojca – ogólnie naszej – były ogromne. Nigdy tego nie zapomnę. Dlatego również potomkowie faszystów, gestapowców i okupantów dla mnie nigdy nie będą wiarygodni, ani nijak nie są w stanie odkupić moich krzywd.

Zbigniew Gieruń – Banaszewski

Mój ojciec **Arkadiusz Gieruń** ur. 1926r – żołnierz AK w województwie lubelskim (pod dowództwem **gen. Zygmunta Szumowskiego – ps. “Sędzimir”**) był ranny podczas akcji przeciwko Niemcom i był inwalidą wojennym.

Z powodu rozpętania przez Niemcy wojny do Polski wkroczyła sojusznica z Niemcami – do 1941r, ale cały czas będąca wroga dla Polski – Armia Czerwona ZSRR. Również z tą armią i z komunistycznymi zdrajcami, osadzonymi w Polsce jako tzw. “władza ludowa” (podobnie jak było w NRD) pod płaszczem wrogich wojsk ZSRR stacjonujących na terenie Polski, walczył mój Ojciec Arkadiusz Gieruń – jako żołnierz **WIN** (pod dowództwem **Henryka Lewczuka ps. “Młot”**). Z powodu wojny i prześladowań dopiero w latach pięćdziesiątych zakończył edukację i uzyskał tytuł inżyniera.



► Powiedzmy Niemcom Prawdę

Tomasz Andrzej Szymański

W czasie Powstania Warszawskiego całe wyposażenie warsztatów mojego Ojca zostało zrabowane przez Niemców, a dom spalony. Wartość majątku moich Rodziców szacowali Oni na równowartość 100 kg złota.

Leszek Wasilewski

Jestem Polakiem, oto kilka szczegółów z historii mojej rodziny.

Brat mojego dziadka, Piotr Płoński, po aresztowaniu w Warszawie, w 1944 roku został zamordowany w niemieckim obozie koncentracyjnym. Dziadek mojej żony, Marcin Gierlach, został zamordowany w niemieckim obozie w Majdanku w 1943 roku.

Mój dziadek, Karol Wasilewski, został zastrzelony przez snajpera podczas Powstania Warszawskiego w sierpniu 1944 roku. Był cywilem, a nie żołnierzem polskiego podziemia. Mój ojciec, Henryk Wasilewski, widział jak jego tata pada trafiony pociskiem „dum-dum”. Co to jest „dum-dum”? To pociski, które działają jak materiał wybuchowy – były używane w polowaniach na słonie.

Mój ojciec, Henryk Wasilewski, po aresztowaniu w Warszawie w 1944 roku, został wysłany transportem do Auschwitz. Na szczęście uciekł z transportu. Ponieważ była zima, w czasie drogi powrotnej do domu nabił się odmrożeń. Tylko moja prababcia, Rozia Korpiewska, która była inwalidką, została przez strzał w głowę zamordowana przez niemieckiego żołnierza we wrześniu 1944 roku w Warszawie. Stało się to na oczach mojej matki, która była wówczas dziewięcioletnią dziewczynką.

Jan Hyjek

Straty wojenne mojej rodziny spowodowane przez Niemców w II Wojnie Światowej: **Śmierć** brata mojej babci, z domu **Barbary Sowińskiej** Szymańskiej, **Witolda Sowińskiego** lat 30, nawet nie ma grobu!

Śmierć wujka **Jędrka Czernego** lat 20, dnia 8.09.1944 w Warszawie. **Śmierć** wujka **Wojtka Czernego** lat 19, dnia 8.09.1944 w Warszawie. Obaj byli jedynymi synami Marii Czernowej, siostry mojego dziadka, zginęli od bomby zapalającej w imieniny swojej matki.

Śmierć mojego dziadka, **Jana Hyjka** (ze strony ojca); przebywał w więzieniach, był torturowany za pomoc udzieloną swemu koledze – powstańcowi Śląskiemu, następnie był w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz nr obozowy **151419**. Pędzony w marszu śmierci w styczniu 1945, zmarł gdzieś na terenie Niemiec, mogiły brak. Osiercił 4 dzieci, pozostała owdowiała żona, na dodatek musieli pracować dla Niemców we własnym gospodarstwie...

Eugeniusz Hyjek, lat 18, przebywał w więzieniach, był torturowany za pomoc udzieloną koledze ojca – powstańcowi Śląskiemu, następnie był w **niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz** nr obozowy **171178**. Pędzony w marszu śmierci w styczniu 1945, pracował przy naprawie torów kolejowych po bombardowaniach aliantów, przeżył chory, wyczerpany. Utracił najlepsze lata młodości i zdrowie.

Dziadek, **Kazimierz Szymański**, utracił swój majątek ziemski z pałacem w Sobiborze, a następnie całe wyposażenie mieszkania w Warszawie.

Pradziadek, **Piotr Sowiński**, utracił swój majątek ziemski z dworem w Przewodach (300 ha), a następnie Pensjonat w Szczawnicy („Batory”) i cierpiał biedę po wojnie na wygnaniu wraz z żoną (oboje po wyżej 70 lat), ich czworgiem dzieci i małym wnuczkami.

Do końca życia żyli w bardzo skromnych warunkach i cierpieli biedę.

Ciocia **Irka z Czernych** straciła męża, który był w obozie jenieckim do końca wojny i nie wrócił ze strefy amerykańskiej, cierpiała biedę.

Zniszczone dzieciństwo. Tułaczka i głód mojej mamy, **Marii Hyjkowej** z domu Szymańskiej, i jej siostr oraz rodziców...

Kto policzy łyzy? Traumatyczne przejścia, ostrzał, bombardowania, ucieczki, łomotanie kolbami Niemców do drzwi nocą...

Wszyscy cierpieli powojenną biedę i spowodowane wojną zniszczenia, straty materialne i moralne, rozłąkę, śmierć, choroby, a także i zapóźnienia cywilizacyjne oraz komunistyczną mentalność i reżim przywleczony do Polski skutkiem wojny rozpętanej przez Niemców, którzy uwierzyli w sens zbrodniczych planów Hitlera.

Seweryn Korzycki

Jestem synem więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych, ojciec po Powstaniu Warszawskim został wywieziony do KL Auschwitz-Birkenau, później do Flossenburga, Dachau i Hersbruck. Mama trafiła do obozu w Pruszkowie.

Tadeusz Szostak

We wrześniu 1939 roku, gdy Niemcy i Związek Sowiecki napadli na Polskę, miałem 2 lata.

Pierwszy kontakt z „**nadludźmi**”, który pamiętam, jest taki. Miałem 4 lub 5 lat i siedłem ulicą trzymając Tatę za rękę. W pewnej chwili Tata ścisnął moją rękę i pociągnął mnie gwałtownie na skraj chodnika. Za chwilę zobaczyłem dwóch żołnierzy niemieckich idących środkiem chodnika i bardzo głośno rozmawiających. Wtedy nie wiedziałem, że **Gubernator GG Hans Frank** wydał zarządzenie, że „**podludzie**” (czyli Polacy) muszą ustępować „**nadludziom**” (czyli Niemcom) pod groźbą kary śmierci.

Kolejne wspomnienia wiążą się z przejazdami tramwajami, w których był potworny ścisk. Gdy przesuwał się w stronę środka wagonu dotarliśmy do połowy zobaczyłem łańcuch między fotelami, który dzielił wagon na połowę. Przednia część wagonu była prawie zawsze pusta, może 2-3 osoby, przeważnie w mundurach. To była część dla „**nadludzi**”, czyli Niemców. My Polacy (jako „**podludzie**”) tłoczyliśmy się w tylnej połowie. Wtedy nie wiedziałem, że przy przednich drzwiach wejściowych do tramwaju był napis „**Nur für deutsche**” (to w jęz. nazistowskim).

Potem było Powstanie Warszawskie. Miałem już 6,5 roku i dość dużo pamiętam. Mieszkaliśmy na V Kolonii WSM na Żoliborzu przy ul. Słowackiego 5/13. Największy strach budziły codzienne naloty niemieckich Stukasów. Pewnego dnia bomby trafiły także w naszą kolonię, zabijając wszystkich zgromadzonych w piwnicy mieszkańców. Oczywiście cywilnych, bo innych tam nie było. Także moich dwóch kolegów, z którymi bawiłem się rano na podwórku.

A potem przyszedł najgorszy dzień, czyli dzień kapitulacji. Następnego dnia o świcie na górze schodów do piwnicy stanęło dwóch „**nadludzi**” w zielonych



Strassenbahn „21”



Marek Tadeusz Łatowski

Po tylu odtąd latach czy jestem tak inny ?

Gdy wszystko leży w gruzach, mnie zdaje się tylko,

Że znowu się otworzy nasz pokój dziecienny

I powiem : „Ja stąd przecież wyszedłem przed

chwilką”

Jan Lechoń

Po zbombardowaniu naszej okazałej mieszczańskiej kamienicy przy ulicy Koszykowej 39 w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 roku, znalazłem się z Mamą w skromnym praskim mieszkaniu babci Kwieczkowskiej. Dotarliśmy do niego w drugim tygodniu wojny, ze skróconego urlopu nad Liwcem, nie mogąc się przedostać na drugą stronę Wisły przez mosty zatłoczone ewakuującymi się jednostkami artylerii przeciwlotniczej, której zresztą szybko zabrakło do obrony samej stolicy.

Ten tłok na mostach okazał się dla nas zbiawnienny, gdyż dom na Koszykowej pogrzebał wujostwo Mędrskich i niechybnie stałby się również naszym grobem, gdybyśmy przypadkowo nie zatrzymali się na ulicy Brukowej.



Dorożka na moście Kierbedzia

Fot. ze zbiorów autora

Ojciec wrócił do Warszawy w połowie października, przeżywając szok oglądanych gruzów na Koszykowej i szczęście odkrycia żyjących bliskich po drugiej stronie Wisły. Jego powrót był równie szczęśliwym przypadkiem, gdyż udało mu się wyślizgnąć z zaciskających się kleszczy obu nagłych i nieoczekiwanych sprzymierzeńców paktu Ribbentrop – Mołotow gdzieś na drodze z Kowla do Chełma i uniknąć wyboru między Woldenbergiem a Katyniem, co niestety stało się udziałem jego honorowych kolegów, którzy poszli do niewoli.

Nienormalne życie powoli się jednak „stabilizowało”. Babcia przeniosła się pod Warszawę, a Ojciec zatrudnił się w sklepie metalowym swego znajomego inżyniera Schmidta, którego nazwisko wydawało się dobrą przykrywką dla jego przyszłej działalności konspiracyjnej, choć nie uchroniło nas to przed rewizją Gestapo ani uliczną łapanką i zakwalifikowaniem go na roboty do Reichu w **Dulagu na ul. Skaryszewskiej** w przyszłości.

Te typowe dla warszawiaków perypetie miały przyjść jednak później, a ich rozwiązanie stanowiło kolejną grę przypadków lub działania wyższej Opatrzności koniecznej dla przeżycia każdego dnia okupacji niemieckiej w Warszawie.

Ja tymczasem kończyłem parafialne przedszkole przy kościele św. Floriana długo przygotowywanym patriotycznym występem z wierszami Bełzy i Or-Ota, do których czułem predylekcję, bo miałem łatwość ich zapamiętywania i śmiałość, która pozwalała wyzbyć się tremy tak typowej dla mych dorosłych już wystąpień publicznych. Miałem zresztą wokół siebie sprawdzonych przyjaciół : Adama, Marcina, obu Jędrków i Jurków, którzy mnie wspierali w tych wczesnych próbach aktorskich i z którymi los spłótl nas na przyszłe dziesięciolecia wspólnych szkół powszechnych, gimnazjów i studiów politechnicznych.

Nie była to wprawdzie moja pierwsza próba w tym emploi. Jak przez mgłę pamiętam swój przedwojenny „ występ” gwiazdkowy na przełomie roku 1938/39 w Teatrze Wielkim, gdy jako mały widz z sali nie bałem się zaproszenia na scenę i wygłoszenia jakiegoś wierszyka ku uciesze rodziców i przyjaciół rodziny.

Dziw bierze po latach, że nikt wtedy na początku okupacji nie bał się ujawniania tych objawów patriotyzmu. Myślę, że nasi ojcowie żyli jeszcze wyobrażeniami Niemiec kajzerowskich z okresu I wojny światowej, a charakter i stopień penetracji Gestapo uświadomili sobie dopiero po pierwszych wpadkach swych towarzyszy z Organizacji, czy też słynnego i spektakularnego aresztowania młodzieży AK-owskiej na pogrzebie kolegi w tymże kościele św. Floriana.

W prywatnej szkole Paszke - Folakowej na ul. Wrzesińskiej to patriotyczne wychowanie ujawniało się na lekcjach polskiego, które były substytutem lekcji historii. Szkoła potajemnie zaopatrzyła nas w „**Małego Piłsudczyka**” i oprawione roczniki



Durchgangslager, potocznie Dulag. Obóz przejściowy przy ul. Skaryszewskiej 8 dla osób aresztowanych w łapankach. Otwarty w 1941 roku w budynku szkoły.

Od redakcji

„**Płomyczka**”, a czasem organizowała małymi grupami wyprawy na spektakle teatralne w prywatnych domach. Wtedy zoba czyłem i usłyszałem po raz pierwszy „Balladynę” i Kościuszkę przysięgającego na Krakowskim Rynku.

Najbardziej wciągał mnie jednak Karol May z historią szlacheckich Indian i Walery Przyborski z legendą napoleońską i kultem księcia Józefa ginącego w nurtach Elstery.

Tymczasem Ojciec zanurzył się głęboko w działalność podziemną, której mogłem się tylko z grubsza domyślać widując przypadkiem „**Biuletyn Informacyjny**” w domu i biorąc czasem udział w jego wyprawach do częściowo zbombardowanego Dworca Głównego, z którego braliśmy riksę, by udać się do różnych bram i podwojek Śródmieścia lub odebrać jakiegoś nieznajomego z pociągu.

Całkiem inne doznania przynosiły jednak moje 11 ► sporadyczne wyprawy z ojcem tramwajem linii „21”

Powiedzmy Niemcom Prawdę

mundurach i wrzeszczało: raus, schnell, Haende hoch! Zaczęliśmy wychodzić ale ja nie miałem podniesionych rąk do góry. **Niemiecki „nadczołwiek”** wycelował we mnie swojego Schmeissera i wrzasnął Haende hoch ! Nie zrozumiałem, ale Tata powiedział mi, abym podniósł ręce do góry i w takim stanie pognano nas na Dworzec Zachodni. Stamtąd trafiliśmy do **Durchgangslager 121 w Pruszkowie**. Spędziliśmy noc na betonie zakładów kolejowych i następnego dnia przeszliśmy selekcję.

Przechodziliśmy przez bramkę, a „**nadczołwiek**” w mundurze ruchem palca wskazywał w lewo lub prawo. Nasza 20-letnia pomoc domowa została skierowana na lewo, czyli do obozu pracy. Po Wojnie dowiedzieliśmy się, że trafiła do **Ravensbrück**, gdzie pracowała w fabryce amunicji. My trafiliśmy do bydlęcych wagonów towarowych, którymi podróżowaliśmy przez 1,5 doby bez jedzenia i picia! Wtedy po raz pierwszy słyszałem wielokrotnie powtarzane przez dorosłych słowo **Auschwitz**. Zwłaszcza gdy pociąg jadący na południe mijał kolejno Radom, Kielce i dalej jechał na południe.

Na nasze szczęście „moce przerobowe” niemieckiej fabryki śmierci były przepelnione i pociąg stanął na stacji w Jędrzejowie, gdzie oczekiwali „nadludzie” w mundurach z wyceLOWANymi Schmeisserami, ze szczekającymi wilczurami i spotkały nas znajome wrzaski: raus, schnell! Wtedy wszyscy mówili, że krzyczą po niemiecku, dziś głoszą, że to było w języku nazistowskim. „**Arbeit macht frei**” w **Auschwitz** też podobno jest.

W Jędrzejowie zostaliśmy zaproszeni przez rodzinę ogrodników, państwa **Kisielów**. Mieszkali w dwupokojowym domku z kuchnią, bez łazienki. W większym pokoju mieszkał „nadczołwiek”, oficer niemiecki, a szóstka „**podludzi**” rodziny Kisielów była stłoczona w pokoju mniejszym. Dla nas na noc kładziono słomę na podłodze w kuchni, na której spędzaliśmy noc. Herr Hauptman ucieszył się z naszego przybycia, bo Tata znał biegle niemiecki, więc mógł się łatwiej komunikować z resztą „**podludzi**”.



Wojenne losy rodziny Murawskich (1939-1945)

Historia jednej rodziny ⁽¹⁾

Wojenne losy naszej rodziny były bardzo dramatyczne. Powstał zamysł, aby je spisać, inspirowany również i tym motywem, aby mogły je poznać przyszłe pokolenia wywodzące się z naszych rodzin. Kilka lat temu prosiłem rodzeństwo, aby każdy spisał to, co zapamiętał. Fela, Zenon i Andrzej nie zdążyli, albo też nie chcieli napisać, a wiem, że pamiętali sporo; odeszli już do Pana. Te wspomnienia, które przedstawiamy, spisaliśmy wspólnie: Ola (Aleksandra), Maryla i Roman, który je uporządkował, zebrał w całość i nadał im ostateczny kształt. Pozostało również kilka luźnych notatek po zmarłych rodzicach, zwłaszcza po ojcu. Te ostatnie powstały, jak

można z charakteru ich zapisu domyślać się, jako szkice lub teksty konferencji, które ojciec wygłaszał w różnych miejscach, na które był zapraszany jako autentyczny świadek tamtych dramatycznych wydarzeń. Wspomnienia, które utrwaliły się w naszej świadomości, przekazujemy w wielkim skrócie i mogą być niepełne. Dotyczą bowiem wydarzeń sprzed ponad siedemdziesięciu lat i sporo rzeczy możemy nie pamiętać lub pamiętać niedokładnie. Byliśmy bardzo młodzi; Marylka, gdy Niemcy wywozili nas do obozu, miała zaledwie 5 lat. Niełatwo jest o tych przeżyciach i doświadczeniach pisać. Mimo że upłynęło już tyle lat, są one wciąż żywe.

Los sprawił, że musieliśmy stawić im czoła w okresie dzieciństwa, w okresie życia szczególnie wrażliwym na traumatyczne przeżycia. Jest jeszcze jeden motyw, który skłonił nas do utrwalenia na piśmie naszych wojennych przeżyć: wdzięczność wobec ludzi, którzy nam pomogli. Już nie żyją. Ale bez pomocy tych ludzi, zarówno krewnych, jak i osób nam całkiem obcych, nie byłibyśmy w stanie tych dramatycznych, wojennych lat w ogóle przeżyć. Pragniemy im bardzo serdecznie podziękować. Zachowujemy ich bezinteresowną pomoc we wdzięcznej pamięci.

Niech im Pan to wynagrodzi!

W 1939 roku mieszkaliśmy w Rumi. Było nas sześcioro rodzeństwa: **Felicja** – lat 11, **Roman** – lat 9, **Zenon** – lat 8, **Ola** – lat 7, **Andrzej** – lat 3 i **Marylka** – lat 1; siódmy z rodzeństwa, **Leon** – urodził się w czasie wojny w 1941 roku. Ojciec – **Alfons**, lat 37, pełnił funkcję kierownika szkoły, matka – **Gertruda**, lat 38, prowadziła dom. Mieszkaliśmy w szkole (dzisiaj szkoła nr 1), w tzw. **Starej Rumi**. Rumia była kaszubska wioska, która, wraz z rozwojem Gdyni, zaczęła się szybko rozbudowywać. Przed wojną gmina liczyła już ponad 6 tysięcy mieszkańców. Przedwojenna Rumia szczyła się tym, że wybudowano na jej terenie lotnisko gdyńskie (rozbudowane w czasie wojny przez Niemców, w 1945 roku całkowicie zniszczone i nigdy nie odbudowane; na jego terenie znajduje się obecnie osiedle mieszkaniowe). Byliśmy szczęśliwą rodziną. Dzieciństwo nasze upływało radośnie i beztrudnie – aż do 1 września 1939 roku.



Lotnisko w Rumii

Wrzesień 1939

Wspomina Ola:

teksty Oli i Maryli podaję kursywą

Rozpoczęcie II wojny światowej pamiętam bardzo dobrze. Miałam tego dnia rozpocząć rok szkolny w 1-szej klasie. Obudziły nas odgłosy wystrzałów i warkot samolotów. W Rumi było wówczas lotnisko. Zbiegliśmy szybko z piętra na parter [dzieci miały sypialnię na pierwszym piętrze], gdzie była sypialnia rodziców. Zobaczyłam jak tatus dyskretnie odsuwa firankę i mówi, że są to obce samoloty. Ponieważ mieszkaliśmy w

gmachu szkoły, a pogoda była piękna i słoneczna, poszłam do części, gdzie mieściły się klasy i zobaczyłam wielu rannych. Panowała panika... Uciekamy do lasu, gdzie przebywamy dwie doby.

Moje wspomnienia dotyczące tamtego dnia:

Byłem wraz z moją siostrą Felą już po pierwszej Komunii świętej. Tego dnia, 1 września, przypadał pierwszy piątek miesiąca. Z tej racji wybieraliśmy się rano na godzinę 7:00 do kościoła na Mszę św. Zostaliśmy wcześniej zbudzeni, krótko po godzinie 6:00. Wstając, słyszałem warkot maszyn. Myślałem, że to nasz sąsiad, znad przeciwka, młócił zboże. Nagle dały się słyszeć potężne eksplozje, od których zatrzęsł się cały dom i szyby w oknach. Ogarnęło nas przerażenie. Zbiegliśmy szybko na dół do rodziców. Ojciec wyglądał przez okno i mówi: rozpoczęła się wojna, niemieckie samoloty bombardują lotnisko. Poszliśmy do kościoła, a po powrocie zobaczyliśmy, że szkoła została zamieniona na szpital; w klasach szkolnych byli ranni. Wskutek bombardowań zostało zniszczonych kilka domów w okolicach lotniska. Kilka bomb spadło na lotnisko, które w tym czasie było puste; nie było już polskich samolotów, kilka dni wcześniej opuściły lotnisko. Rozeszła się pogłoska, że w południe, około godziny 14:00, ma być następne bombardowanie. Nie wiem, skąd ludzie mieli te informacje. Rzeczywiście około godziny 14:00 nad Rumia przeleciały dosyć nisko niemieckie samoloty, ale nie zrzuciły żadnej bomby. Ponieważ robiło się niebezpiecznie, rodzice wraz ze znajomymi postanowili ukryć się w lasach okalających Rumie. Tak też zrobiono. Po dwóch dobach wróciliśmy z powrotem do domu.

Pisze Ola:

Gdy wracamy do domu [z lasu], przychodzą do naszych piwnic mieszkańcy Rumi. Ludzie modlili się wśród huku wystrzałów. Wojsko niemieckie wyrzuca ludzi z domów i zamyka ją wszystkich w kościele (na jedną dobę).

Chciałbym, odwołując się do mojej pamięci, trochę ten wątek rozwinąć.

Po dwóch dobach spędzonych w lesie wróciliśmy do swoich domów. Przez kilka dni był względny spokój. Nadsluchiwaliśmy, co się dzieje, jak przebiegają

działania wojenne, gdzie jest front. Po kilku dniach działania wojenne objęły Rumie. Schroniliśmy się w piwnicach szkoły, gdzie zgromadziło się też wielu okolicznych mieszkańców. Rumia była ostrzeliwana, na ile pamiętam, przez trzy, cztery dni. Tyle czasu spędziliśmy w pomieszczeniach piwnicznych szkoły. Działania wojenne były bardzo intensywne. Niebezpiecznie było wychodzić na zewnątrz. Słychać było huk wystrzałów. Ludzie modlili się. Po kilku dniach Stara Rumia została zdobyta. Niemieccy żołnierze wyprowadzili nas, a także ludzi z okolicznych domów, na plac przed szkołą, a potem zamknęli w kościele. Pamiętam, że zanim weszliśmy do kościoła, staliśmy jakiś czas, pod obstrzałem, przed kościołem, na drodze oddzielającej kościół od cmentarza, i widziałem na cmentarzu jeszcze polskich żołnierzy. **Dochodziło tam do walki wręcz.** W kościele spędziliśmy jedną dobę. W tym czasie, w pewnym momencie, potężna eksplozja wstrząsnęła kościołem. Z ostrzału artyleryjskiego z Kazimierza (dwa kilometry odległego od kościoła), dokąd wycofali się polscy żołnierze, została strącona wieża kościoła.

Wspomnienia Oli:

Z kościoła wypuszczają kobiety i dzieci, a mężczyźni wyprowadzają osobno. Tatus znalazł się w więzieniu w Wejherowie. My wracamy do naszego mieszkania, do szkoły. Niemcy podpalają stodołę, szukając tam polskich żołnierzy. Nas wyrzucają z mieszkania. Uciekamy przez lotnisko wśród wystrzałów do Wejherowa, gdzie zatrzymujemy się u kuzynki mamy – cioci Pauli. W drodze zaginął gdzieś nasz brat Roman. W Wejherowie udaje się naszej mamie (ponieważ znała b. dobrze język niemiecki) wydostać tatusia z więzienia.. Po kilku dniach wraca niespodziewanie nasz brat, który z innymi uciekinierami dotarł do Pucka.

Od siebie chciałbym dodać:

Już dokładnie nie pamiętam, ale wydaje mi się, że następnego dnia, po południu, po spędzeniu całej doby w kościele, pośród trwającego cały czas obstrzału karabinowego i artyleryjskiego, kobiety i dzieci zostały wyprowadzone z kościoła, z zaleceniem, aby przez lotnisko przedostać się na tyły frontu, do strefy zajętej już przez Niemców, do Redy. **11** ►

Historia jednej rodziny ⁽¹⁾

◀ 11 Pozwolono nam na krótko wrócić do mieszkania i zabrać z sobą najpotrzebniejsze rzeczy. Była z nami również ciocia **Mela**, siostra ojca, która przed wojną mieszkała i pracowała w Gdyni, a po wybuchu wojny przybyła do nas, do Rumi. Całe szczęście! Nasza mama nie dałaby rady z dwojgiem bardzo małych dzieci: z jednoroczną Marylką i niespełna trzyletnim Andrzejem. Wiem, że dzwigałem jakąś walizkę czy torbę. Droga w stronę Redy prowadziła przez lotnisko. Szło dużo ludzi, a właściwie biegliśmy z pochylonymi głowami, bowiem nad nami świstały kule. Mama i ciocia Mela troszczyły się przede wszystkim o najmłodszych, niosły na przemian Marylkę, trzymając za rękę Andrzeja, a my starsi musieliśmy sobie sami radzić, pilnując się wzajemnie, żeby się nie zgubić. I to właśnie mnie się zdarzyło.

W Redzie rozchodzą się drogi: jedna do **Wejherowa**, druga do **Pucka**. Ludzie na tym skrzyżowaniu też zaczęli się rozchodzić: jedni szli w stronę Wejherowa, inni w stronę Pucka. Zanim zorientowałem się w sytuacji, już szedłem z grupą ludzi w kierunku Pucka. Było już za późno, żeby zawrócić. Zaopiekowali się mną idący w tym samym kierunku ludzie, a właściwie sąsiedzi z naprzeciwka szkoły, prowadzący zakład fryzjerski, państwo **Zburalscy** (tak chyba się nazywali). Mieli w Pucku rodzinę

czy znajomych, u których zatrzymali się, a ja wraz z nimi. Domyśliłem się, że cała moja rodzina poszła do Wejherowa, i jedyne miejsce, gdzie mogła znaleźć schronienie, była ciocia **Paula** (krewna ze strony matki). Mieszkała ze swym mężem, który był maszynistą kolejowym, przy jednej z głównych ulic Wejherowa. Adresu dokładnego nie znałem. Po kilku dniach, gdy już nieco ucichły działania wojenne, zebrała się jakaś grupka ludzi, którzy zamierzali udać się do Wejherowa, by połączyć się ze swymi rodzinami. Zabrałem się z nimi. Miałem trochę obawy, czy uda mi się odnaleźć mieszkanie cioci Pauli. I tu dopisało mi szczęście. Nagle na chodniku wśród ludzi, zauważyłem moją mamę. Można sobie wyobrazić radość matki, która po kilku dniach odnalazła zagubione dziecko, i to w takich okolicznościach (wojennych)! Co musiała w tym czasie przeżywać!

Gdy chodzi o zatrzymanych w rumskim kościele mężczyzn, to zostali oni później przetransportowani do więzienia w Wejherowie. Dowiedziała się o tym nasza mama. Udała się do kierownika więzienia i płynną niemiecką, czym zaszokowała go, domagała się natychmiastowego zwolnienia ojca, argumentując to tym, że trzeba szukać zaginionego podczas działań wojennych dziecka. Najprawdopodobniej Niemcy nie mieli jeszcze wówczas

pełnego rozeznania, kim są poszczególni więźniowie. Dopiero zaczęto ustalać ich tożsamość. Ojciec został zwolniony i uniknął w ten sposób śmierci. Już po kilku dniach był ponownie poszukiwany.

Wielu z wówczas aresztowanych mężczyzn zostało później rozstrzelanych w lasach Piaśnicy pod Wejherowem.

Tak sobie nieraz myślę: prawdopodobnie moje zagubienie uratowało wtedy życie ojcu. Nie do przewidzenia są drogi, którymi Pan nas prowadzi.

Ola pisze:

Wracamy do Rumi, ale musimy opuścić mieszkanie w szkole. Użyczają nam mieszkania znajomi, państwo Penkowscy. Tam pod wieczór przychodzi zniemczony Kaszub, który ostrzega tatusia, że jest na liście i rano ma być przez Niemców aresztowany. Tatusz wraz z trzyletnim bratem Andrzejem jeszcze tego wieczoru wyjeżdża do Osia (Bory Tucholskie), do rodziny tatusia. Po 6-ciu tygodniach przyjeżdża po nas brat tatusia z Osia – wujek Władek, dużym wozem drabiastym. Po załadowaniu naszego dorobku jedziemy do Koleczkowa, gdzie czeka tatusz. Stamtąd jedziemy dalej nocą do Osia. Przejeżdżamy w pewnym miejscu przez drewniany 12 ▶



Las mordu, niemiecki Katyn

Piaśnica miejsce kaźni ludności polskiej na Pomorzu Gdańskim. Od jesieni 1939 do wiosny 1940 roku w Lasach Piaśnickich w pobliżu Wejherowa Niemcy zamordowali od 12 do 14 tysięcy ludzi – przedstawiciele polskiej inteligencji z Pomorza Gdańskiego.

Od redakcji

Strassenbahn „21”

◀ s.9 Część przednia wagonu była wydzielona łańcuchem „nur für Deutsche” i na ogół prawie pusta na tej linii. Ulicą Wolską dojeżdżaliśmy do kościoła św. Wojciecha, który stał się w czasie Powstania Warszawskiego niemyym świadkiem tragicznych scen martyrologii mieszkańców z rąk bandytów z brygady **Dirlewangera**.

Wtedy jeszcze w latach 41 i 42 wydawał się on oazą eksterytorialnego spokoju, bo na jego ogrodowy dziedziniec nie wchodziła przedstawiciele „Herrenvolku”. Nic więc dziwnego, że ojciec wybrał to miejsce na spotkania ze swą łączniczką „Janiną”. Ja służyłem tu za przykład religijnego dziecka, które przychodziło na niedzielną Mszę Św.,



Oskar Dirlewanger niemiecki zbrodniarz wojenny. Oberführer SS, znany z sadyzmu dowódca specjalnej jednostki karnej SS. Odpowiada za śmierć kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców Woli. 5 sierpnia 1944 r. znane jako „czarna sobota”.
Od redakcji

podczas gdy ojciec konferował spacerując wokół kościoła. Może decydowały tu względy związane z produkcją broni, która była na Woli wytwarzana jeszcze za czasów Powstania Styczniowego. Ojciec był rezerwowym oficerem uzbrojenia i jego ostatnia praca w PZInz-u była z tym przecież związana. Oczywiście nie miałem wtedy o tym pojęcia.

Nasze wyprawy na Wolę uległy dłuższej przerwie na wiosnę 1943 roku. Wielkanoc tego roku przyniosła likwidację Getta i krótkie Powstanie, które oglądaliśmy z brzegu Wisły, a po nim zaczęło się metodyczne podpalanie i wysadzanie domów. Niemcy chcieli jednak utrzymać główną arterię z Berlina do Brześcia i szybko przywrócili trasę tramwaju „21”; tym razem już przez „czysty rasowo” Muranów wzdłuż ulicy Leszno, bezpośrednio z Woli przez Plac Bankowy i Plac Teatralny na Pragę.

Pamiętam tę trasę z zimy 1943/44 roku, bo przejazd tramwajem koło gmachu Sądów przypomni mi traumatyczne wydarzenie z jesieni roku poprzedniego, którego byłem świadkiem na ulicy Kępnej. Tym razem nie oglądałem sceny rozstrzelania Polaków, ale ze zgrozą pokazano mi kilkunastu

powieszonych zakładników na wysokości gzymsu pierwszego piętra opuszczonego domu. Była to moja ostatnia wyprawa z ojcem na Wolę, bo mama nie zgodziła się, bym mu towarzyszył w dalszych wyprawach na drugą stronę Wisły. Zresztą już tylko kilka miesięcy dzieliło nas od Powstania, planowego zniszczenia całego miasta oraz śmierci wielu naszych znajomych i członków rodziny. Wśród nich znalazł się dziadek Waclaw, który zginął z rąk zbirów spod znaku swastyki na tejże Woli, prawdopodobnie w pobliżu dobrze mi znanego kościoła pod wezwaniem patrona chrztu Polski i przyjęcia Jej do świata Zachodu, skąd przyszła do nas niespotykana w dziejach pożoga i zagłada elity Narodu

Następny raz pojechałem tramwajem na Wolę nowa Trasą W-Z dopiero po pięciu latach, by zapalić świeczkę na symbolicznym grobie przy kościele w Dzień Zaduszny 1949 roku. Była to już inna epoka, a ulica Zygmuntowska przyjęła nazwę Karola Świerczewskiego na następne lat czterdzieści, by stać się ulicą Solidarności po burzliwym okresie „błędów i wypaczeń” PRL -u...

Historia jednej rodziny ⁽¹⁾

◀ **s.11** *most, który wygina się, a konie nie miały siły wóz pociągnąć. Tylko cudem uniknęliśmy tragedii.*

W Osiu mieszkamy kilka dni u rodziców tatusia (dziadków). Jest b. ciasno, chałupa kryta strzechą. Potem udaje się znaleźć jeden duży pokój bez kuchni. Pokój ogrzewany jest trociniakiem, który kopci i trudno na nim gotować. Jest b. zimno, a ściany pokrywa lód.

Mój brat Roman zostaje oddany do wujostwa na gospodarstwo do Śliwic, z powodu braku miejsca do spania.

Z zapisków ojca:

Dlatego, że na tutejszym terenie groziła mi ze strony okupanta zemsta, a nawet utrata życia, po przebyciu 10-dniowego więzienia w Wejherowie, opuściłem tajemnie tutejszy teren 6 października 1939 r. i ukryłem się w mojej rodzinnej wiosce w Borach Tucholskich, w Osiu, powiecie świeckim. W listopadzie sprowadziłem również rodzinę, gdyż

odludnych, nie było jeszcze niemieckich patroli widać. Zamieszkaliśmy u naszych dziadków. Była to bardzo skromna i stara chałupa pokryta strzechą, bez żadnych wygod; sanitariaty były w podwórzu.

Składała się z dwóch części, przedzielonych sienią, z osobnym wejściem. W każdej były tylko dwa pomieszczenia: kuchnia, która służyła też do spania, oraz izba. Prawą część zajmowali dziadkowie wraz z najstarszą córką (siostrą ojca), ciocią Maryną oraz dwoma dorosłymi synami (braćmi ojca): wujkiem **Tadkiem** i wujkiem **Stachem**, a lewą część zamieszkiwała rodzina wujka Władka (prowadzącego gospodarstwo), z sześciorgiem dzieci.

Ciasnota przeogromna. Jeszcze dzisiaj trudno przychodzi mi wyobrazić sobie, jak pomieściliśmy się. Toteż jedną z głównych trosk rodziców było poszukanie jakiegoś kąta, gdzie można by zamieszkać i być na swoim. Taka okazja wkrótce się nadarzyła, ale, jak wspomina Ola, o czym sam później mogłem się przekonać, warunki były naprawdę bardziej niż prymitywne. Trudno sobie dzisiaj taką sytuację wyobrazić: w jednej izbie rodzice plus sześcioro dzieci,

brat babci), z żoną – ciotką **Anną**, wraz z dwoma prawie już dorosłymi dziećmi, **Władysławem** – 18 lat, i **Reginą** – lat 16. Dom był pod strzechą, dosyć obszerny, ale bez wygod, natomiast gospodarstwo jak na owe czasy było już bardzo nowoczesne. Miałem do dyspozycji odrębną izbę, która sąsiadowała z inną, w której mieszkała nasza prababcia, Petronia, matka wujka Witalisa, licząca wówczas ponad osiemdziesiąt lat. Wszyscy byli dla mnie bardzo dobrzy, szczególnie wuj Witalis. Myślę, że bardzo mnie lubił, zabierał mnie wszędzie z sobą, a dla mnie, młodego chłopca, jazda wozem z końmi była dużą atrakcją.

Życie w Śliwicach, mimo wojny, toczyło się prawie normalnym torem, gdyby nie to, że od czasu do czasu widziało się umundurowanych Niemców, a w miejscach publicznych słyszało się język niemiecki. Gospodarzy ponadto nękały dosyć duże kontrybucje, nałożone przez władze okupacyjne. Trzeba pamiętać, że **Pomorze zostało włączone do Trzeciej Rzeszy** i obowiązywały na jego terenie inne prawa i zasady niż w innych regionach Polski. Wkrótce



2 października 1906 roku, stacja Osie przyjmuje pierwszy regularny pociąg.

Dzień 2 października 1906 roku był wielkim wydarzeniem dla mieszkańców **Śliwic** i okolicznych wiosek. Tego dnia została oddana do użytku linia kolejowa **Laskowice Pom. - Osie - Śliwice - Szlachta - Czersk** o długości 55,3 km. Miało to ogromne znaczenie dla dalszego rozwoju tych okolic.

musiała Rumię opuścić, wyprowadzając się do Koleczkowa, skąd furmanką przewiozłem ją do Osia.

Niewiele mam do dodania.

Wiem, że już na kilka dni przed przyjazdem po nas wujka Władka, część naszego skromnego dobytku została przewieziona do Koleczkowa, do znajomych gospodarzy. Znalazłem się tam również i ja wraz z Zenonem. Pamiętam, że codziennie wychodziliśmy na drogę, wypatrując przyjazdu wujka Władka. Podróż z **Koleczkowa** do **Osia** trwała dwa dni, odległość około 120 kilometrów. Mama z małymi dziećmi i dziewczynkami siedziały na wozie, ja z Zenonem i tatusiem szliśmy pieszo za wozem. Jechaliśmy bocznymi drogami, żeby nie natknąć się na Niemców, co nam się udało. Były to dopiero pierwsze dni okupacji niemieckiej, więc w małych miejscowościach, w miejscach

w którym piec-trociniak (palony trocinami z tartaku) służył zarówno do ogrzewania pomieszczenia, jak i za piec do gotowania. Na jednym palenisku trzeba było gotować i przyrządzać posiłki dla ośmiu osób.

Mnie spotkał inny los, może bardziej przyjazny. Ojciec oddał mnie do wujostwa, do **Milochów**, do **Śliwic**, oddalonego od **Osia** około 20 kilometrów. Zanim rodzina przeniosła się od dziadków do owego jednoizbowego mieszkania, zostałem przez ojca zawieziony do Śliwic. Kursowały już pociągi osobowe. Więc pewnego dnia, był to chyba już koniec października lub pierwsza połowa listopada, wsiedliśmy do pociągu i pojechaliśmy. Był wieczór i było ciemno, gdy przyjechaliśmy na miejsce. Ze stacji odebrał nas wuj **Witalis**. I tak rozpoczęła się moja dwuletnia wojenna przygoda związana ze Śliwicami. Wypada o niej nieco więcej opowiedzieć.

W Śliwicach

W Śliwicach, położonych w samym środku Borów Tucholskich, na tzw. wybudowaniu, w odległości 1,5 kilometra od wsi, znajdowało się spore gospodarstwo, liczące ponad dwadzieścia hektarów, będące ojcowizną naszej babci, **Febronii** (ze strony ojca). Gospodarował na nim wuj, **Witalis Miloch** (rodzony

została otwarta szkoła, a rodziców i opiekunów zobowiązywano do posyłania do niej dzieci. Nauczano w języku niemieckim, klasy były łączone. Zostałem również i ja do niej zapisany. Do szkoły miałem prawie dwa kilometry, ale chodziłem bardzo nieregularnie. Częściej byłem w domu niż w szkole. Nawet nie pamiętam, która to była klasa i chyba niewiele się nauczyłem. Były to dopiero początki okupacji, więc kontrola władz niemieckich nie była jeszcze taka dokładna i uciążliwa. Lubilem przebywać w gospodarstwie i na polu (zabudowania gospodarskie znajdowały się w środku pola). Chętnie angażowałem się w różne prace, a w okresie letnim, po żniwach, pasłem krowy (było około dziesięciu sztuk bydła).

W jesienne i zimowe wieczory siedziało się przeważnie w domu, przy lampie naftowej (nie było elektryczności) lub przy lampie karbidowej. Rozmawiało się o polityce, o aktualnych wydarzeniach, lub grało się w karty. W niedziele, zwłaszcza w okresie letnim, miały miejsce zazwyczaj spotkania rodzinne.

Gospodarstwo wujka Witalisa w Śliwicach stanowiło ośrodek, do którego zjeżdżali i gdzie spotykali się wszyscy najbliżsi krewni. Stąd się wywodzili, żyła jeszcze prababcia **Petronia**. Dla jednych – matka, dla innych babcia, a dla mnie prababcia. Były to, choć przeżywane w atmosferze wojny, bardzo radosne dni i prawdziwe święta. Nie tylko rodzinne, **s.13** ▶

◀ ale i patriotyczne. Była okazja, żeby podzielić się najnowszymi wiadomościami. Wiele mówiło się o sytuacji w Polsce, nie brakowało też i śpiewów. Ponieważ w pobliżu, przynajmniej w odległości kilka set metrów, nie było żadnych zabudowań, a mieszkali tam też Polacy, więc nie obawiano się interwencji władz niemieckich. W Śliwicach u wujostwa spędziłem dwa lata. Dla mnie ten czas pobytu w Śliwicach należał do tych okresów mego dzieciństwa, który wspominam z radością i z wdzięcznością.

W Osiu

Ze wspomnień Oli:

Jesienią 1940 roku przeprowadzamy się do jeszcze niewykończonego domu (dwupokojowego), należącego do naszych dalszych krewnych Nogów. Uczymy się od tamtejszych mieszkańców robienia różnego rodzaju szczotek, pomagając w ten sposób rodzicom finansowo.

czym wspomagaliśmy finansowo naszych rodziców.

Cała posesja, w której zamieszkaliśmy, składała się z trzech domów, w której mieszkało (razem z nami) sześć rodzin; w środku zaś było duże podwórko. Niektóre rodziny były bardzo liczne: w sumie – blisko 30 dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym. Można sobie wyobrazić, jaki ruch i hałas panowały w podwórku, gdy cała dzieciarnia wybiegła, żeby się razem bawić, zwłaszcza w letnie popołudnia i wieczory. Całą gromadą wychodziliśmy też do pobliskiego lasu na przechadzki, zwłaszcza do tzw. „zatok”, dużego rozlewiska wodnego na **Wdzie** (powstałego wskutek zbudowania zapory wodnej w elektrowni Żur), w lecie na jagody, a w jesieni na grzyby.

Chodziliśmy także do szkoły. Dzieci zostały podzielone na dwie grupy: utworzono klasy niemieckie i polskie. W klasach niemieckich realizowano pełny program nauczania, a uczęszczały do nich dzieci volksdeutsche oraz dzieci z tych polskich rodzin, które przyjęły obywatelstwo niemieckie (tzw. „trzecią grupę”). Dzieci z rodzin, które zachowały obywatel-

mieliśmy w okolicy dużo krewnych, którzy prowadzili gospodarstwa rolne. Od nich nieraz dostawali brakuje produkty, głównie mąkę, jaja, mleko, a także i mięso. Ponieważ byłem najstarszy z chłopców i umiałem już jeździć na rowerze, więc ojciec niejednokrotnie posyłał mnie po owe artykuły. Były to wyprawy dość ryzykowne, bo tego rodzaju zaopatrywanie się w żywność było zakazane i karane.

I tak doszliśmy do wydarzenia, po wrześniu z 1939 roku najtragiczniejszego, które miało miejsce w nocy z 7 na 8 lipca 1943 roku.

Wywiezienie do obozu w Potulicach

Kontynuuję wspomnienia Oli:

...w nocy obudziło nas łomotanie do drzwi. Gestapowcy okrążyli dom i kazali się pakować. Kilka dni wcześniej tatuś rozmawiał z nami i przygotował nas na ewentualne wywiezienie do obozu. Dom, w którym mieszkaliśmy, był w



...tęsknota, głód, ból i strach.

Mieszkamy tam do 8-go lipca 1943 roku, kiedy to w nocy obudziło nas łomotanie do drzwi.

Chciałbym tę krótką relację mojej siostry nieco poszerzyć, żeby choć trochę pokazać, jak wyglądało to nasze okupacyjne życie w Osiu aż do momentu wywiezienia nas do obozu w **Potulicach**.

Wróciłem ze Śliwic do Osia latem 1941 roku. Właśnie dlatego sprowadzili mnie rodzice, ponieważ znacznie poprawiły się nasze warunki mieszkaniowe. **Nogowie, Dominik i Klara**, byli naszymi dalszymi krewnymi (o ile się nie mylę, nasz ojciec i Klara byli kuzynostwem w drugim pokoleniu). Mieli trzy córki w naszym wieku: **Bogusię** (rok starsza ode mnie), **Władzię i Małgosię**. W podwórku stał niezamieszkały domek z dwoma pokojami i małą kuchnią. Nogowie nam go udostępnieli. Bardzo nam w tych trudnych, okupacyjnych czasach pomogli. Trudno słowami wyrazić, jak bardzo. Jesteśmy im bardzo wdzięczni. Zawiązała się między naszymi rodzinami głęboka przyjaźń, która trwa do dzisiaj, mimo, że wyrosły już nowe pokolenia. Nogowie prowadzili, podobnie jak inni mieszkańcy sąsiadujących domów, szczotkarską manufakturę, tj. warsztat, w którym robiono szczotki. Zatrudnili nas, starszych z rodzeństwa. Chodziłem tam prawie codziennie, głównie po południu. Szybko nabrałem wprawy. Od każdej zrobionej szczotki dostawaliśmy stosowne wynagrodzenie,

stworzyły polskie klasy, które najczęściej były klasami łączonymi i realizowano w nich niepełny program. W zasadzie niewiele pobieraliśmy nauki. Chodziliśmy najczęściej (całymi klasami) do pracy w pobliskich folwarkach lub do lasu zbierać leśne runo (jagody i grzyby). Nasz ojciec pracował początkowo jako robotnik drogowy, a później w biurze prowadzonym w Osiu przez jakiegoś Niemca (Axena?).

Pisze:

Początkowo byłem bez pracy. Od marca 1940 do września 1941 r. pracowałem jako robotnik drogowy na szosie przy konserwacji i brukowaniu dróg. Od października 1941 przekazał mnie niemiecki urząd pracy (Arbeitsamt) do porządków nieruchomości (Grundstückgesellschaft) dla wymierzania mieszkań, gdzie pracowałem do lipca 1943 r. (...) **W dniu 8 lipca 1943 r. nocą wywiozło mnie z żoną i siedmiorgiem dzieci gestapo do obozu w Potulicach koło Nakła**. Cały mój dobytek zagrabil Niemcy.

Ponieważ ojciec znał bardzo dobrze język niemiecki, dorabiał sobie ponadto pisaniem pism (podań) do władz niemieckich, o które prosiły go różne osoby. Sporym problemem było wyżywienie tak licznej rodziny. Było nas siedmioro dzieci (w kwietniu 1941 roku urodził się nasz najmłodszy brat Leon), więc niełatwo było wyżywić tak dużą gromadę dzieci. Wiele artykułów spożywczych było na kartki. Ale

podwórku. Szczyt domu łączyła duża brama, za którą był duży sad szybko schodzący górką w dół. Do tego ogrodu w kuchni było małe okienko, przez które po kolei, gdy gestapowcy nie byli w zasięgu, tatuś wypychał moje rodzeństwo do ogrodu. Tam czekali już ludzie, krewni – nie wiadomo skąd się dowiedzieli. Był tam również bardzo przyzwoity Niemiec, u którego tatuś pracował jako mierniczy. To on, Axen (tak się chyba nazywał), zajął się moim bratem Zenonem (11-letnim), którego potem oddał do krewnych.

Wszyscy w ten sposób uciekli. Zostałam tylko ja. Stałam przy łóżeczku mojego 2-letniego braciuszka, Leosia, który był chory na zapalenie płuc. Tatuś goląc się brzytwą specjalnie podciął się, aby było więcej czasu na ucieczkę. Mimo próśb rodziców nie ruszyłam się miejsca.

(...) Jechaliśmy pociągiem do Bydgoszczy, gdzie była przesiadka. Mój mały braciuszek, Leoś, miał wysoką temperaturę. Mama poprosiła o coś do picia dla niego, ale dali tylko czarną kawę. Powieziono nas potem do Nakła, skąd do obozu w Potulicach.

Tam byliśmy poddani kontroli. Zabrali wszystko, co posiadaliśmy, nawet bursztynowe kolczyki z uszu mamy. Były moje, ale mama zamieniła się

Historia jednej rodziny ⁽¹⁾

◀ *ze mną i dała mi swoje, złote z koralem, które otrzymała w prezencie od tatusia. Ponieważ nie byłam uczesana, więc włosy przystaniały je. W ten sposób uratowałam kolczyki, a po wojnie mama powiedziała: ponieważ uratowałam te kolczyki, są twoje. Mam je do tej pory.*

Chciałbym dodać kilka szczegółów dotyczących naszej ucieczki z obstawionego przez niemieckich żandarmów domu.

Najpierw moje krótkie spostrzeżenie z poprzed-

widać okien. Było jednak jedno małe okienko w kuchni, które wychodziło na ogród, którego nie zauważyli, a które od strony ogrodu było jeszcze zasłonięte krzakami. Spojrzał to tatuś i ocenił, że można uciec. Podpowiedział mi, żebym spróbował. Wskoczyłem i ukryłem się w zaroślach w ogrodzie, obserwując, czy policjanci nie zauważyli mojej ucieczki. Następnie poprzez ogród i sąsiadując z nim inne ogrody i pola pobiegłem do domu wujka Władka, tego samego, który nas przywiózł

Gdy chodzi o mnie, to po pewnym czasie opuściłem po kryjomu dom, gdzie zostałem ukryty i poszedłem zobaczyć, co się dzieje. Niezauważony, podszedłem poprzez te okalające ogrody pod sam dom i trafiłem w sam raz na moment odjazdu rodziny, eskortowanej przez niemieckich żandarmów. Spojrzałem tylko samych rodziców z Olą i Leosiem. Wywnioskowałem, że pozostali z mojego rodzeństwa też zdołali uciec. Obserwowałem tę scenę najpierw przez płot w ogrodzie, a potem,



Budowa obozu w Potulicach

„W pierwszym okresie istnienia obozu, od listopada 1940 do lipca 1941, był on obozem typowo przesiedleńczym (**Umsiedlungslager**), służącym jako przejściowy obóz zbiorczy dla polskiej ludności wysiedlanej z Gdańska i Pomorza do Generalnej Gubernii. Od połowy lipca 1941 zmienił swój charakter, zachowując nadal swą dotychczasową nazwę. Stał się obozem karnym, podległym obozowi w **Stutthofie – jego filią**.

Do obozu wywożono polskie rodziny, głównie z Pomorza, zwłaszcza te, które stanowiły jakieś zagrożenie dla władz okupacyjnych i stale powiększany. Było ponad trzydzieści baraków. W obozie było bardzo dużo dzieci bez rodziców, przetrzymywanych w specjalnych barakach dla dzieci”.

niego dnia. Pod wieczór widziałem na naszej ulicy kręcących się w pobliżu naszego domu niemieckich policjantów. Byłem tym widokiem nieco zdziwiony, ponieważ zazwyczaj nie widywało się ich w tej okolicy. Ale była wojna, więc różne rzeczy mogły mieć miejsce. Jestem przekonany, że robili rekonesans, chcieli zbadać okolicę i poznać terenowe warunki, w jakich będą musieli w nadchodzącej nocy działać.

W nocy, około godziny drugiej, zbudziło nas łomotanie do drzwi. Ja tego łomotania osobiście nie słyszałem. Zbudził nas tatuś, który ze spokojem oświadczył, że przysła niemiecka policja i wywożą nas do obozu. Dają nam dwie godziny czasu na spakowanie się. Podziwiałem spokój i opanowanie naszych rodziców w tej tak dramatycznej dla naszej rodziny sytuacji: siedmioro dzieci, w tym troje w wieku przedszkolnym; najmłodszy, dwuletni brat, Leoś – chory na zapalenie płuc, z wysoką temperaturą. Tylko dwie godziny czasu na spakowanie. Co zabrać? Co będzie potrzebne? Na ile czasu nas zabierają? Czy wrócimy? Kto takiej sytuacji nie przeżył i nie doświadczył w życiu, trudno mu będzie to pojąć. Już drugi raz w czasie wojny musimy opuścić swoje mieszkanie i porzucić swoje mienie.

Policjanci byli na zewnątrz, o ile się nie mylę, było ich dwóch. Obserwowali dom od strony podwórka, od czasu do czasu zaglądając do środka. Nie pilnowali domu od strony ogrodu, bo nie było

na początku wojny z Rumi do Osia, i powiadomiłem go o całym wydarzeniu. Ukrył mnie u jakichś sąsiadów i sam pobiegł zobaczyć, co się dzieje. Jedni drugich zaczęli o tym wydarzeniu informować, tak że w krótkim czasie pod naszym domem zdążyła zebrać się już spora grupa ludzi, głównie sąsiadów. Szczególnie aktywny był wujek **Dominik Noga**, który w ogrodzie odbierał wyskakujące przez to małe okienko, ciągle jeszcze niezauważone przez policjantów, resztę rodzeństwa i przekazywał je ludziom. W ten sposób uciekli jeszcze po mnie: **Fela, najstarsza siostra – lat 15, Zenon – lat 12, Andrzej – lat 7 i Marylka – lat 5**. Nie chciała uciec Ola, jak sama o tym wspomina; czuła się jakby sparaliżowana. Żandarmi co jakiś czas zaglądali do mieszkania. W pewnym momencie zorientowali się, że nie ma dzieci. Od tego czasu ponoć już nie wychodzili z mieszkania. Tak relacjonował później tatuś.

Nie wiem, w jaki sposób dowiedzieli się o naszej wywóźce do obozu najbliżsi sąsiedzi, zwłaszcza wujek Dominik Noga, który, jak to wynika ze wspomnień Oli i Maryli, był bardzo aktywny w organizowaniu naszej ucieczki. Moja ucieczka była tylko pierwszą próbą. Gdy tylko się udało, podjęte zostały następne. Przy ucieczce młodszych z rodzeństwa, siedmioletniego Andrzeja i pięcioletniej Marylki, potrzebna już była pomoc. Tej udzielał niezmordowany wujek Noga. Pozdziwiać trzeba jego odwagę i zaangażowanie.

gdy wóz zaczął odjeżdżać, wyszedłem z ukrycia i w odległości około stu metrów posuwałem się za nim, obserwując, co się będzie dalej działo. Robiłem to bez żadnego zastanowienia, nie zdając sobie sprawy z groźnego mi niebezpieczeństwa. W pewnym momencie zauważył mnie wujek Noga i nakłonił do natychmiastowego powrotu, do ukrycia się.

Dla pełnego obrazu przytaczam jeszcze krótką relację Maryli, która wtedy miała pięć lat i trochę szczegółów z tego wydarzenia zapamiętała.

Pisze:

Gdy nas wywożono do obozu – 8 lipca 1943 roku – miałam skończony 5 lat. Tej nocy spałam w łóżku obok mamy i obudził mnie szloch mamy. Na stoliku paliła się nocna lampka, a mama siedziała w łóżku z głową opartą na rękach płacząc, mówiła: „co będzie z dziećmi?” Potem przyszedł wujek Noga i z tyłu domu zapukał do okienka kuchni i zapytał: „Murawski, co robimy z dziećmi?” Postanowili ucieczkę i tak pięcioro z nas uciekło przez to małe okienko w kuchni. Bardzo się bałam i krzyczałam, że nie chcę, bo tam są myszy. Przy domu, od tamtej strony, tj. od ogrodu, był rów z chrustem i chłopcy mnie straszili, że są tam myszy. Ale przy okienku stał wujek Noga i uspokajał mnie a następnie odebrał. Potem dobrze już nie pamiętam; siedziałam chyba gdzieś w krzakach.

Historia jednej rodziny ⁽¹⁾

Ci spośród nas, którym udało się uciec, zostali najpierw przez wujka Władka ukryci w różnych rodzinach, a potem – z racji, że policja niemiecka mogła nas poszukiwać, a tych, którzy nas przyciągnęli, mogły spotkać surowe kary, włącznie z wywiezieniem do obozu – zostaliśmy po kryjomu przetransportowani do innych miejscowości.

Ja spędziłem pierwszą dobę u sąsiadów wujka Władka, a następnego dnia zostałem przewieziony (pociągiem) do **Brus**, do państwa **Rolbieckich**, bliskich krewnych rodziny **Grabskich** z Osia, z którą to rodziną byliśmy zaprzyjaźnieni. Nie przypominam sobie dziś, gdzie znaleźli schronienie pozostali z mego rodzeństwa. Jak wynika z relacji Maryli, ona znalazła schronienie u krewnych w **Malachiniu**, a Andrzej w **Czersku**. W Czersku był chyba również Zenon. Nie pamiętam, gdzie ukrywała się Fela.

Państwo Rolbieccy w Brusach prowadzili przed wojną piekarnię, która została im przez Niemców zabrana. Mieli dorosłych synów i córki. Byli wszyscy dla mnie bardzo dobrzy. Ponieważ były letnie wakacje, więc nikogo specjalnie nie dziwiło, że w tym wakacyjnym czasie przebywa u nich jakiś chłopiec w wieku szkolnym. Specjalnie się ukrywałem.

Marylka wspomina, że została odesłana do krewnych do Malachinia koło Czerska, gdzie znalazła schronienie u cioci **Rózi**, rodzonej siostry naszej babci z Osia, która z mężem, Zygmuntem, prowadziła tam spore gospodarstwo.

Nie pamiętam, jak znalazłam się Malachiniu, ale pamiętam, że przebywałam tam jakiś czas i na początku byłam zbuntowana, i chyba nie rozmawiałam. Jednak było mi tam bardzo dobrze, wszyscy okazali mi dużo miłości i cierpliwości, zarówno ciocia Róża i wujek Zygmunt, jak i inni. Ale najbardziej kochałam ciocię Władzię (córkę wujostwa): była dobra, czuła i często mnie tuliła, bo było mi smutno, strasznie tęskniłam i płakałam.

Po kilku tygodniach, już w sierpniu, dokładnej daty nie pamiętam, otrzymałem wezwanie po-

wrotu do Osia, bowiem tatuś potajemnie z obozu przysłał kartkę, wyrażając w niej pragnienie (pisze o tym w swoich wspomnieniach Ola), aby rodzina była razem, w komplecie i chce, żebyśmy wszyscy zostali przewiezieni do obozu.

Marylka wspomina, odwołując się do ustnej relacji naszego ojca:

Tatuz opowiadał, dlaczego musieliśmy przyjechać do obozu. Gestapo oczywiście zorientowało się, że brakuje dzieci i wzywali go aż trzykrotnie, żeby nas ściągnął do obozu, ale tatuś zwlekał. Dopiero za trzecim razem, gdy ostrzegli, że rodziny, u których przebywamy, zostaną też wywiezione do obozu, zdecydował się na ściągnięcie dzieci do obozu.

Na nic więc zdała się nasza ucieczka. Wróciłem do Osia. Ciocia Marynka, siostra ojca, mieszkająca z dziadkami w Osiu, zawiozła nas, w dwóch partiach i w odstępie kilkunastu dni, najpierw mnie i Zenona, a potem Felę z Marylką i Andrzejem, do obozu w Potulicach. Pojechaliśmy pociągiem do Nakła, z przesiadką w Bydgoszczy. Jechałem z mieszanymi uczuciami. Zdawałem sobie sprawę, że tracimy wolność i nie wiadomo jak potoczą się nasze dalsze losy. Z Nakła do Potulic, około 10 kilometrów, szliśmy pieszo, dźwigając nasz skromny bagaż. Niewiele mieliśmy. Ja, uciekając owej nocy, nic ze sobą nie zabrałem. Podobnie pozostali z mego rodzeństwa. Gdy się ucieka, nie myśli się o tym. To, co mieliśmy i czym dysponowaliśmy, dostaliśmy potem od dobrych ludzi.

Obóz w Potulicach

Najpierw kilka słów o samym obozie.

Obóz w Potulicach powstał w posiadłościach majątku rodu Potulickich, odległego około 10 kilometrów od Nakła. Majątek ten w okresie międzywojennym został przekazany Chrystusowcom, nowemu zgromadzeniu zakonnemu powstałemu z inicjatywy kard. Augusta Hlonda dla misji wśród polonii zagranicznej. Główne zabudowanie stanowił zamek. Obok zamku

Niemcy pobudowali kilka dużych baraków, w których panowały bardzo prymitywne warunki.

Ich rodzice zostali wywiezieni do innych obozów, a właściwie podobozów, do pracy w fabrykach produkujących sprzęt wojenny.

W obozie były też wydzielone podobozy, otoczone kolczastym drutem, do których zwykli obozowicze nie mieli dostępu. O ile się nie mylę, przebywały w nich dzieci z Rosji. W ogóle los wszystkich dzieci w obozie potulickim był szczególnie dramatyczny. Wiele dzieci nie wytrzymało trudnych warunków obozowych. Spoczywa ich najwięcej na przyobozowym cmentarzu.

Wspomnienia z przybycia do obozu

Ola:

...baraki otoczone drutami. Najpierw skierowano nas do odwzawialni. Pysznice w łaźni dla wszystkich razem – dzieci i dorosłych (osobno dla mężczyzn i kobiet). Mieszkamy w baraku nr 12. Izby są małe z trzema pryzkami (trójpoziomowymi), pluskwy, które nie dają spać. Od trzynastki (baraku nr 13) izby są już duże. Jedzenie bardzo ograniczone: dwie kromki czarnego chleba na cały dzień. Zupa z pokrzywy lub lebiody – w okresie letnim, a zimą z brukwi lub kapusty, bez ziemniaków. Natomiast robactwo było na porządku dziennym w obiedzie.

W obozie funkcjonowała szkoła, raczej namiastka szkoły. Była jedna duża sala. Już nie pamiętam, jakie grupy dzieci na te lekcje przychodziły, które ponadto odbywały się nieregularnie. W obozie, jak wspominałem, było dużo dzieci, z tym, że **od 12 roku życia musiały już iść do pracy...**

Od redakcji

Wojenne losy rodziny Murawskich, upamiętnione w dramatycznej relacji: „Historia jednej rodziny”, ze względu na bardzo obszerny materiał, zostaną zamieszczone w dwóch kolejnych wydaniach.



Działania Reduty Dobrego Imienia

Dwa nowe pozwy w obronie prawdy historycznej

Z inicjatywy **Reduty Dobrego Imienia** w minionym tygodniu złożone zostały dwa pozwy. **Związek Zawodowy Maszynistów Kolejowych** oraz **Zbigniew Nowiński**, skierowali do Sądu Okręgowego w Warszawie pozew cywilny przeciwko **BBC** zaś **Bogdan Bartnikowski** złożył pozew przeciwko francuskiemu dziennikowi **Le Parisien**.

W styczniu br. na stronie internetowej **BBC**, pojawił się artykuł „**Beware hate speech**”, **says Auschwitz Holocaust survivor**” autorstwa **Allana Little**, w którym padają słowa: „**Holocaust** nie był jedynie niemieckim przedsięwzięciem.

Wymagał aktywnej kolaboracji ze strony norweskich urzędników, francuskiej policji, polskich maszynistów i ukraińskich bojówek paramilitarnych”.

Po interwencji tekst został zmieniony. **Związek Zawodowy Maszynistów Kolejowych** oraz **Zbigniew Nowiński** skierowali do **Sądu Okręgowego w Warszawie** pozew cywilny przeciwko **BBC** o naruszenie dóbr osobistych.

Z kolei druga sprawa została wykryta jakiś czas temu. W lutym 2015 roku, z okazji 70. rocznicy wyzwolenia obozu francuski dziennik **Le Parisien** opublikował artykuł, w którym użył sformułowania „**camp nazi polonais**”. Przeciwko temu zwrotowi zaprotestował **Bogdan Bartnikowski**, który był więziony w obozie. Powód skierował sprawę do **Sądu Okręgowego w Warszawie** o naruszenie dóbr osobistych żądając usunięcia oszczerczego sformułowania i przeprosin.

Obie sprawy prowadzi mec. **Artur Wdowczyk** z **Kancelarii Adwokackiej A\Wdowczyk**.

To kolejna sprawa przeciwko mediom zagranicznym zainicjowana przez **Redutę Dobrego Imienia**. W maju br. złożony został pozew cywilny przeciwko hiszpańskiemu dziennikowi **El Pais**.

• Kolejna rozprawa przeciwko Onet.pl

W Sądzie Okręgowym w Krakowie odbyła się kolejna rozprawa przeciwko **Onet.pl**.

24 lipca zeznawał fotoedytor i redaktor naczelny onet.pl.

W kwietniu br. zeznania złożył szef Działu Prawnego grupy **Onet Ringier Axel Springer Polska**, który podkreślił, że fotoedytor odpowiedzialny za dobór zdjęcia do artykułu nie przeczytał go, a autor tekstu nie widział zdjęcia które wybrał fotoedytor. Nad całością czuwał wydawca – redaktor naczelny.

Przypominamy, że sprawa dotyczy zdjęcia opublikowanego **15 marca 2016 r.** na portalu onet.pl. przedstawiającego kobiety prowadzone na egzekucję w **Palmirach**, w tym matkę **Pana Krystiana Brodackiego**. Ilustrowało ono tekst o romansach Polek z Niemcami i prostytucji podczas okupacji.

Będziemy aktywnie uczestniczyć w procesie, tradycyjnie zachęcamy do śledzenia przebiegu rozprawy na Twitterze: **@DobreImiePolski**

• Sprawa Jana Grabowskiego

Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga przeciw Zniesławieniom i współpracujący z nią naukowcy wobec konieczności obrony dobrego imienia Polaków często bezimiennych, zamordowanych za pomoc Żydom, stanowczo sprzeciwiamy się działalności i wypowiedziom **Jana Grabowskiego**, historyka wykładającego na uniwersytecie w Ottawie. W swoich licznych publikacjach i wypowiedziach publicznych fałszuje historię Polski, głosząc tezy sugerujące, że Polacy są współwinni zagłady Żydów.

Jan Grabowski to ceniony na świecie badacz historii Holocaustu, który prezentuje stanowisko zbieżne między innymi z **Janem Tomaszem Grosse** i **Barbarą Engelking**. Główne tezy jego prac i wypowiedzi medialne ukazują Polaków jako współwinnych zbrodni **Holocaustu** oraz jako powojennych kontynuatorów ludobójczych działań niemieckich, których przejawem miał być chociażby tzw. pogrom kielecki. Z ust historyka padają oskarżenia o brak jakichkolwiek działań polskich władz wobec zagłady Żydów oraz sugestia, że tragiczny los Żydów był Polakom na rękę i stanowił jedyną nić porozumienia z niemieckim okupantem.

Wesprzyj Redutę!

Fundacja Reduta Dobrego Imienia od kilku lat zajmuje się dbaniem o dobre imię Polski i Polaków. To dzięki Państwa wsparciu mogliśmy podjąć się tego zadania. W ciągu ostatniego roku zintensyfikowaliśmy i profesjonalizowaliśmy nasze działania.

Podjęliśmy reakcję w ponad 60 sprawach, z czego aż 16 skończyło się wstąpieniem na drogę sądową. Prowadzimy procesy sądowe m.in. przeciwko: ZDF, Onet.pl, El Pais, Facebook

Przygotowujemy się do kolejnych. Śledzimy osoby, które działają w sposób szczególny: **Jana Tomasza Grossa** i **Jana Grabowskiego**. Sprzeciwiamy się kłamstwom na temat naszej historii w prasie zagranicznej. Reagujemy na błędy historyczne w podręcznikach, prowadzimy analizy i przygotowujemy raporty.

Zajmujemy stanowisko w ważnych kwestiach dotyczących polityki historycznej. Dajemy impuls do refleksji i działania innym organizacjom, także rządowym, zwracając uwagę na niepokojące problemy.

Jednak każdy rozwój wymaga funduszy. Tylko od Państwa zależy, czy uda nam się dalej realizować wyżej wymienione cele i udoskonalać nasze działania. Bez Państwa wsparcia finansowego **Reduta Dobrego Imienia** nie będzie mogła funkcjonować!

Zwracamy się z prośbą o zaangażowanie finansowe w obronę dobrego imienia Polski. Jeśli nasze działanie jest Państwu bliskie, a dobre imię Polski uznają Państwo za wartość wymagającą troski, prosimy o wpłaty na konto bankowe:

87 1090 1883 0000 0001 2254 5117 z dopiskiem „**Darowizna na cele statutowe**” i najlepiej kontaktowym adresem e-mail.

W walce ze zniesławieniami Polski i Polaków liczy się każda złotówka!

*Z wyrazami szacunku i podziękowaniami
za każde wsparcie Zespół Reduty Dobrego
Imienia - Polskiej Ligi przeciw Zniesławieniom*